

PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

MAJ 1995 Nr 5(16)/95





DZIENNIK USTAW
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, dnia 11 czerwca 1945 r. **Nr 21**

DEKRET

z dnia 24 maja 1945 r.

o przekształceniu Politechniki Gdańskiej w polską państwową szkołę akademicką.

Na podstawie ustawy z dnia 3 stycznia 1945 r. o trybie wydawania dekretów z mocą ustawy (Dz. U. R. P. Nr 1, poz. 1)—Rada Ministrów postanawia, a Prezydium Krajowej Rady Narodowej zatwierdza, co następuje:

Art. 1. Politechnika Gdańska staje się polską państwową szkołą akademicką.

Art. 2. (1) Politechnika Gdańska dzieli się na cztery wydziały: 1) inżynierii lądowej, 2) mechaniczno - elektryczny, 3) budowy okrętów i 4) chemiczny.

(2) Minister Oświaty może w drodze rozporządzenia powołać do życia nowe wydziały i oddziały

Art. 3. (1) Pierwszego rektora i pierwszy skład profesorów Politechniki Gdańskiej mianuje Prezydent Krajowej Rady Narodowej na wniosek Ministra Oświaty.

(2) W okresie organizacyjnym, trwającym do dnia 30 sierpnia 1946 r., rektor Politechniki Gdańskiej ma kompetencje senatu akademickiego, dziekanów i rad wydziałowych.

(3) Minister Oświaty może w drodze rozporządzenia ograniczyć kompetencje rektora, określone w ust. (2).

Art. 4. Wykonanie niniejszego dekretu porucza się Ministrowi Oświaty.

Art. 5. Dekret niniejszy wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Prezydent Krajowej Rady Narodowej:
Bolesław Bierut

Prezes Rady Ministrów:
Edward Osóbka - Morawski

Minister Oświaty:
Stanisław Skrzeszewski



prof. zw. dr inż.
Stanisław ŁUKASIEWICZ
1945 - 1946



prof. zw. dr
Stanisłwa TURSKI
1946 - 1949



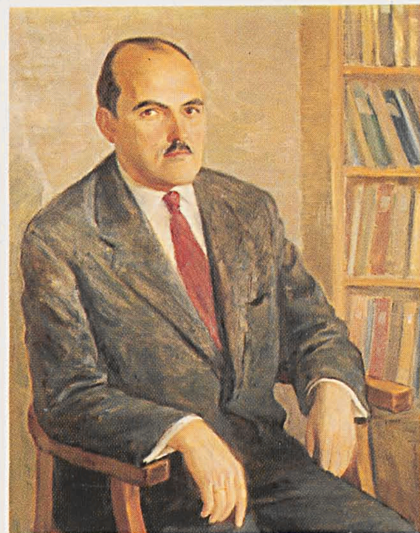
prof. nadzw. dr inż.
Paweł SZULKIN
1949 - 1951



prof. zw. dr hab. inż.
Robert SZEWALSKI
1951 - 1954

"Rektorów Politechniki Gdańskiej honoruje się portretami umieszczonymi w sali senatu"

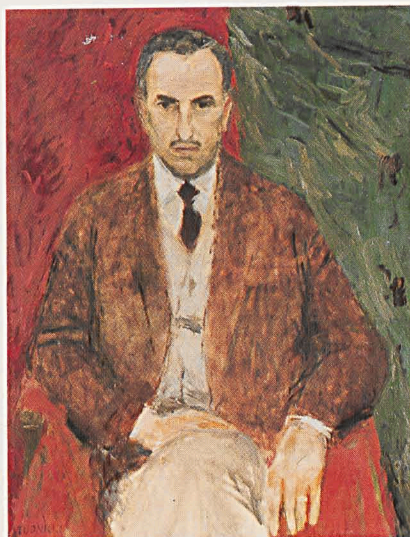
Statut Politechniki Gdańskiej, rozdz. 11, § 46, pkt. 4.



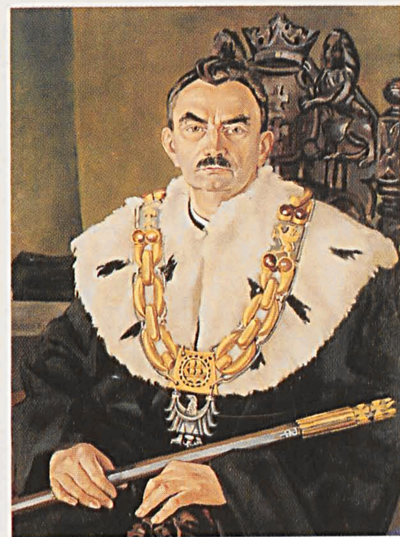
prof. nadzw. dr
Stanisław HŰCKEL
1954 - 1956



prof. nadzw. mgr inż.
Wacław BALCERSKI
1956 - 1960



prof. zw. dr inż.
Kazimierz KOPECKI
IV 1954 - IX 1954
1960 - 1966



prof. zw. dr inż.
Władysław BOGUCKI
1966 - 1968



Fot. M. Wilga

"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska
za zgodą Rektora

Adres redakcji:
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. 47 17 09, fax 41 58 21

Zespół Redakcyjny:
Waldemar Affelt (sekretarz), Leszek Apanasewicz, Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas, Jadwiga Lipińska, Adam Synowiecki, Joanna Szłapczyńska

Opracowanie techniczne i typograficzne:
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Opracowanie fotograficzne okładek:
Tadeusz Chmielowiec

Korekta:
Joanna Szłapczyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej
Skład komputerowy w programie Ventura Publisher

Numer zamknięto 5 maja 1995

Pojedyncze egzemplarze pisma można otrzymać
w księgarni w Gmachu Głównym

Spis treści

Prof. GERD GUDEHUS

doktorem honoris causa Politechniki Gdańskiej

(24 maja 1995r.)

Prof. Gerd Gudehus, urodził się w Hamburgu 23 lipca 1938 roku. Studia inżynierskie na kierunku budownictwo lądowe zakończył w 1959 roku na Uniwersytecie w Braunschweigu. Dyplom inżyniera budownictwa lądowego uzyskał w roku 1963 na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie. W cztery lata później obronił pracę doktorską pt. *Odkształcenia fundamentów pasmowych posadowionych na podłożu piaszczystym*, uzyskując stopień doktora nauk technicznych w dziedzinie mechaniki gruntów. Stopień naukowy doktora habilitowanego uzyskał w roku 1971 na Uniwersytecie w Karlsruhe, przedstawiając rozprawę habilitacyjną pt. *Sprężysto-plastyczne prawa konstytutywne dla piasku.* Tematyka ta stała się głównym obszarem jego zainteresowań i sukcesów naukowo-badawczych. W dwa lata później (1973 r.), mając 35 lat, został dyrektorem Instytutu Mechaniki Gruntów i Mechaniki Skał (IBF,) uzyskując tytuł profesora zwyczajnego w Uniwersytecie Technicznym w Karlsruhe. Funkcję tę pełni do dzisiaj.

Prof. Gerd Gudehus zajmuje we współczesnej nauce pozycję wyjątkową, w szczególności w dziedzinie mechaniki gruntów i fundamentowania. Już w czasie studiów wyróżniał się wszechstronnymi zdolnościami, o czym świadczą jego pierwsze prace naukowe bogate w swej treści i krytycyzmie. W roku 1974, na Uniwersytecie w Karlsruhe, rozpoczął wykłady nt. *Mechanika i stabilność materiałów rozdrobnionych.* Główne idee układów konstytutywnych, wykorzystane już we wspomnianych wykładach, odchodziły jednak od teorii sprężysto-plastycznych, kierując się w stronę praw typu prędkościowego.



Rozpoczęte w 1972 roku badania, opierające się na wynikach testów przeprowadzanych w aparacie prawdziwego trójosiowego ściskania, doprowadziły do odkrycia asymptotycznych zachowań materiału w przypadku proporcjonalnych ścieżek obciążenia ściskającego. Wyniki tych i późniejszych badań stały się podstawą hypoplastycznej teorii konstytutywnej dla gruntów i innych materiałów rozdrobnionych oraz pozwoliły na wyjaśnienie lepkościowych zachowań gruntów.

Zainteresowania naukowo-badawcze prof. Gudehusa, zarówno w formie teoretycznej, jak i stosowanej, są bardzo liczne. Od roku 1975 wykorzystuje dynamicznie koncepcje proponowane przez jego zespół naukowy, w rzeczywistych i trudnych przypadkach praktyki inżynierskiej. Od 1975 roku opracował wiele metod określenia stateczności, np. metodą gwoździowania gruntu, zamrażania gruntu itd. Jest ponadto autorem wielu opatentowanych metod, które z powodzeniem stosuje wiele firm współpracujących z Instytutem prowadzonym przez prof. Gudehusa. Od ponad 10 lat zajmuje się zagadnieniami parcia silosowego, będąc jednocześnie rzecznikiem Specjalnego Programu Badawczego *Silosy* w Niemczech. Od ponad 8 lat zajmuje się badaniami i rozwojem metod *in-situ* dotyczących biologicznego oczyszczania gruntu.

Prof. Gudehus opublikował ponad 120 prac naukowych, których większość cytuje się obecnie w światowej literaturze naukowej w dziedzinie zarówno teoretycznej, jak i stosowanej mechaniki gruntów i fundamentowania. Prof. Gudehus jest międzynarodowym ekspertem z dziedziny fundamentowania; uczestniczył m.in. w pracach grupy konsultacyjnej dotyczącej katastrofalnego osiadania ściany zachodniej Muzeum Zamkowego w Malborku. Prof. Gudehus jest przewodniczącym Sekcji Mechaniki Gruntów Niemieckiego Komitetu Geotechniki (DGG) oraz od ponad 15 lat pełni funkcję przewodniczącego Komitetu Normalizacyjnego. Jest członkiem wielu międzynarodowych komitetów geotechnicznych oraz współwydawcą wielu międzynarodowych czasopism naukowych. W latach od 1981 do 1983 był dziekanem Wydziału Budownictwa Lądowego, od 1983 do 1989 roku był prorektorem ds. nauki Uniwersytetu Technicznego Fridericiana w Karlsruhe.

Prof. Gerd Gudehus współpracuje z Katedrą Geotechniki PG od ponad dwudziestu lat. Pod jego kierunkiem zostały przygotowane na Uniwersytecie Technicznym w Karlsruhe dwie prace habilitacyjne pracowników Wydziału Inżynierii Środowiska PG. Dalsze dwie prace habilitacyjne naszych pracowników i jedna pracownika Wydziału Budownictwa Lądowego PG, opracowywane pod jego kierunkiem, są w toku.

Przygotowano też jedną pracę doktorską pracownika Wydziału Budownictwa Lądowego na Uniwersytecie w Karlsruhe, której promotorem był Prof. Gudehus. W ramach podpisanej umowy o współpracy pomiędzy naszymi uczelniami obecnie aktywnie realizuje się nowoczesne tematy badawcze. Istnieje wymiana studentów naszego Wydziału zarówno w celach praktyk zawodowych, jak też i przygotowywania prac dyplomowych.

Katedra Geotechniki PG wspólnie z IBF zorganizowała w 1989 roku II Międzynarodowy Workshop na temat *Metody numeryczne w teorii lokalizacji i bifurkacji materiałów roz-*

drobnionych, w którym brali udział profesorowie uczelni technicznych z ponad 15 krajów świata. Prof. Gudehus był również inspiratorem współpracy pomiędzy Katedrą Geotechniki PG, IBF oraz Katedrą Matematyki Uniwersytetu Duke w Północnej Karolinie w USA na temat teorii bifurkacji płynięcia materiałów rozdrobnionych. Wyniki tej współpracy były ocenione przez międzynarodową grupę ekspertów i zostały wyróżnione prestiżową Nagrodą Naukową Maxa Plancka i Humboldta w 1991 roku. Obecnie w dniach od 15 do 17 maja br. odbędzie się Międzynarodowy Workshop na temat *Homogenizacji, teorii migracji i mechaniki ośrodków rozdrobnionych* w Mierkach k. Olsztynka, zorganizowany wspólnie przez Katedrę Geotechniki PG, Laboratoire Sols Solides et Structures Uniwersytetu Josepha Fouriera w Grenoble i Instytut Mechaniki Gruntów i Mechaniki Skał Uniwersytetu Technicznego w Karlsruhe.

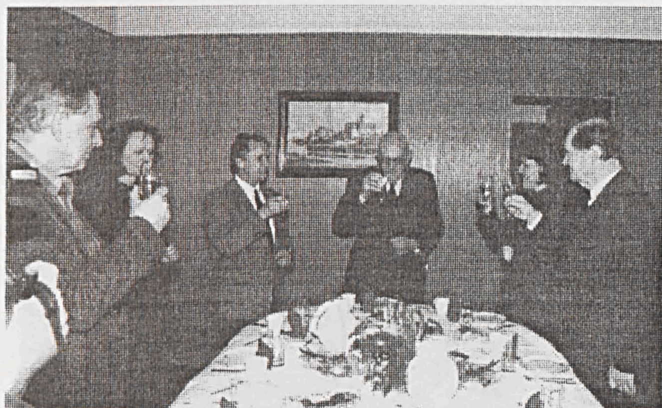
Prof. Gerd Gudehus należy do awangardowej grupy współczesnych uczonych, dla których wykonywany zawód stał się pasją życiową realizowaną w nader aktywny i wszechstronny sposób. Nikt też nie potrafi zarazić swych współpracowników twórczym niepokojem, a równocześnie optymizmem i energią tak skutecznie, jak czyni to przez cały okres swej działalności prof. Gudehus. Jest on mistrzem w eliminowaniu podrzędnych problemów i koncentrowaniu się na zagadnieniach istotnych i perspektywicznych. Ma niespożytą wręcz energię i nie szczędzi czasu swym licznym współpracownikom, uczestnicząc w wielogodzinnych sporach naukowych przy tablicy w swym gabinecie.

Prof. Gerda Gudehusa cechuje wyjątkowo otwarte międzynarodowe podejście w sprawach badań naukowych. W związku z tym przebywa u niego na dłuższy okres czasu wielu cudzoziemców z różnych krajów świata wszystkich kontynentów. W tej grupie badawczej Polacy zajmują pierwsze miejsce, tak że mówi się w Karlsruhe o grupie narodowościowej Polaków w Instytucie Mechaniki Gruntów i Mechaniki Skał. Prof. Gerd Gudehus włada biegle kilkoma językami, w tym język polski nie jest mu obcy. Jego pozanaukową pasją jest muzyka, a wśród grona jemu bliskich i znajomych, choć nie tylko, uważany jest za wirtuoza w grze na fortepianie.

Eugeniusz Dembicki, Zbigniew Sikora
Wydział Inżynierii Środowiska

Profesor Witold Jan Urbanowicz

ukończył 90 lat



Fot. T. Chmielowiec

Urodził się w Baku 27 marca 1905 r. Maturę uzyskuje w gimnazjum matematyczno-przyrodniczym w Zgierzu (1925). Służbę wojskową odbywa w Marynarce Wojennej (1926-28). Studiuje budowę okrętów w Politechnice b. Wolnego Miasta Gdańska, gdzie otrzymuje dyplom inżynierski w specjalności kadłubów okrętowych (1929-37).

W okresie międzywojennym pracuje w Gdyni nad rozbudową floty polskiej (1937-39). Podczas kampanii wrześniowej kieruje warsztatami Marynarki Wojennej na Helu. Po wyjściu z niewoli pracuje opodal Warszawy i staje się żołnierzem konspiracyjnego oddziału Marynarki Wojennej AK (1939-45).

Po wojnie zostaje pierwszym dyrektorem naczelnym a następnie technicznym Zjednoczenia Stoczni Polskich i działa na rzecz przejęcia, odbudowy i uruchomienia przemysłu okrętowego na całym ponad 500-kilometrowym wybrzeżu (1945-50). Organizuje resortowy Morski Instytut Techniczny (1950) i przekształca go w Instytut Morski w Gdańsku (1951), kieruje nim jako pierwszy dyrektor i dyrektor naukowy (1950-66).



Gdańsk, 27. marca 1995

REKTOR
POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

Pan
prof. Witold Jan Urbanowicz
Doktor Honoris Causa
Politechniki Gdańskiej

Wielce Szanowny Panie Profesorze, Drogi Jubilacie,

jest mi niezwykle miło, że przypadł mi w udziale zaszczyt złożenia Panu Profesorowi najserdeczniejszych gratulacji i życzeń z okazji 90-tej rocznicy urodzin.

Osoba Pana Profesora jest nierozłącznie związana z rozwojem i dobrym imieniem naszej Uczelni. Nie jest przesadą stwierdzenie, że oddał Jej Pan ogromną część swego intensywnego życia naukowego. Mamy szczególne powody do głębokiego szacunku i uznania dla Pana Profesora, jako jednego z budowniczych i organizatorów Politechniki Gdańskiej. Dowodem tego może być przyznanie Panu Profesorowi tytułu i godności doktora honoris causa naszej Uczelni.

Pański jubileusz jest nierozłącznie związany z Jubileuszowym Rokiem Akademickim 1994/1995 Politechniki Gdańskiej, która również obchodzi swoje 90-cio i 50-cio lecie.

Jest Pan Postacią, która łączy Politechnikę Wolnego Miasta Gdańska z polską Politechniką Gdańską. Szczególnie gorąco pragnę podziękować za niezwykle aktywną działalność w Kole b. Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej z lat 1904-1939, które działając pod Pana Profesora przewodnictwem ukazuje prawdę o dziejach naszej Uczelni, przyczyniając się do integracji społeczności Politechniki Gdańskiej z różnych okresów Jej historii.

Z okazji wspaniałego Jubileuszu 90-cio lecia, w imieniu Senatu, całej społeczności akademickiej Politechniki Gdańskiej i swoim własnym, życzę Panu Profesorowi znakomitego zdrowia, wielu szczęśliwych i radosnych chwil w życiu osobistym.

Łączę wyrazy najwyższego uznania i szacunku

prof. dr hab. inż. Edmund Wittbrodt

80-952 Gdańsk, ul. G.Narutowicza 11, tel. (0-58) 41 57 91, 47 12 69, telefax 415821, email: rektor @ sunrise.pg.gda.pl, telex 0512302 plg PL



DZIEKAN WYDZIAŁU ARCHITEKTURY POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ
DEAN FACULTY OF ARCHITECTURE • TECHNICAL UNIVERSITY OF GDAŃSK
DOYEN FACULTE D'ARCHITECTURE • UNIVERSITE TECHNIQUE DE GDAŃSK

ul. G.Narutowicza 11/12 • 80-952 GDAŃSK • tel. 48 58 47-13-15; 48 58 47-23-15 • fax 48 58 47-12-33 • tlx 0512302 plg pl

Gdańsk, dnia 27 marca 1995 r.

Wielce Szanownemu Jubilatowi
Czcigodnemu Panu Profesorowi
Doktorowi honoris causa Politechniki Gdańskiej

Witoldowi Janowi Urbanowiczowi

Nauczycielowi akademickiemu wielu pokoleń architektów
Twórcy szkoły architektury okrętów
Kierownikowi Katedry Architektury Morskiej i Przemysłowej
w latach 1959 - 1974
Prodziekanowi Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej
w latach 1969 - 1971

w Dziewięćdziesiątą Rocznicę Jego Urodzin

najserdeczniejsze podziękowania za wszelkie dobro,
którego od Niego zaznaliśmy, wraz z życzeniami
zdrowia i pomyślności oraz wielu lat aktywności
naukowej

w imieniu studentów, pracowników, nauczycieli akademickich
i Rady Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej

składa

Dziekan

Wiesław Anders

Prof.dr inż.arch. Wiesław Anders

Prowadzi badania nad nowymi typami statków. Jego dorobek twórczy staje się podstawą do nadania Mu tytułów naukowych docenta (1955) i profesora nadzwyczajnego (1966).

Na zaproszenie prof. arch. Wacława Tomaszewskiego rozpoczyna wykłady na Wydziale Architektury PG z przedmiotu architektura okrętów (1950). Przedmiot ten z biegiem czasu stał się specjalizacją dyplomową architektów w tym zakresie. W okresie dwudziestu pięciu lat pracy Profesora w Politechnice Gdańskiej (1950-75) umacnia się ta nowa dyscyplina. Nadawane są stopnie naukowe za rozprawy dotyczące architektury okrętów. Ukazuje się pierwsze wydanie książki Profesora *"Architektura okrętów"*(1959), w której skodyfikował jej teoretyczne podstawy.

Przejście na emeryturę nie przerywa Jego aktywności. Publikuje kolejna monumentalną książkę "T*ransatlantyki - zarys ich dziejów i techniki"* (1977). Wzmaga działalność w towarzystwach naukowych i w Komitecie Historii Nauki i Techniki PAN. Jest też założycielem i wieloletnim przewodniczącym koła b. Studentów Polaków Politechniki Wolnego Miasta Gdańska.

Wśród licznych Jego dokonań jedno zasługuje na szczególne wyróżnienie, jest nim stworzenie szkoły naukowej architektury okrętów w Politechnice Gdańskiej.

Wiesław Anders
Wydział Architektury

PS. Na zdjęciach: Spotkanie Rektora z Jubilatem w dniu 4.04.br w Salce Kolegialnej.

Fot. T. Chmielowiec

Profesor Kazimierz Kopecki

(1904-1984)

Wspomnienie

W bieżącym roku minęło dziesięć lat od śmierci Profesora Kazimierza Kopeckiego, organizatora i pierwszego dziekana Wydziału Elektrycznego Politechniki Gdańskiej, późniejszego prorektora i rektora naszej uczelni oraz przewodniczącego Komitetu Problemów Energetyki PAN. Dla uczczenia tej rocznicy w marcu 1994 r. odbyło się w Sali Senatu PG uroczyste zebranie plenarne Komitetu z udziałem JM Rektora i zaproszonych gości, a na Wydziale Elektrycznym odsłonięto tablicę pamiątkową i nazwano gmach Wydziału imieniem Profesora Kopeckiego.

Staraniem Katedry Elektrowni i Gospodarki Energetycznej zorganizowano również krajowe seminarium naukowe na temat planowania i eksploatacji systemów energetycznych, w którym wzięli udział byli uczniowie i współpracownicy Profesora Kopeckiego, a także wychowankowie Jego następców. Z licznego grona pracowników naukowych, którzy uzyskali doktoraty i habilitacje pod opieką albo z inspiracji Profesora, wywodzi się bowiem wielu profesorów zatrudnionych obecnie w różnych uczelniach lub instytutach badawczych i rozwijających twórcze myśli Profesora oraz kształcących nowe kadry specjalistów w zakresie energetyki.

Dlatego warto w Jubileuszowym Roku Akademickim 1994/95 przypomnieć czytelnikom PISMA PG sylwetkę i dorobek Profesora Kopeckiego, współorganizatora Politechniki Gdańskiej w 1945 r., wybitnego uczonego, nauczyciela i wychowawcy licznej rzeszy inżynierów elektryków i energetyków polskich, twórcy gdańskiej szkoły naukowej w zakresie elektroenergetyki i energetyki kompleksowej, długoletniego kierownika Katedry Elektroenergetyki, a następnie dyrektora Instytutu Elektroenergetyki i Automatyki na Wydziale Elektrycznym PG.



Kazimierz Kopecki urodził się 28 kwietnia 1904 r. w Morawsku k. Jarosławia. Studiował na Wydziale Mechaniczno-Elektrycznym Politechniki Lwowskiej i w 1928 r. uzyskał dyplom inżyniera elektryka. Pracę zawodową rozpoczął w Pomorskiej Elektrowni Krajowej "Gródek" w Toruniu, gdzie zajmował się problemami ekonomicznymi elektryfikacji kraju oraz wprowadzaniem nowoczesnej taryfy opłat za energię elektryczną. Wnioski ze swoich prac nad taryfami referował także na konferencjach międzynarodowych w Brukseli (1936) i Berlinie (1938).

W 1938 r. inż. K. Kopecki objął stanowisko dyrektora Miejskich Zakładów Energetycznych w Toruniu. We wrześniu 1939 r. został komendantem obrony cywilnej Torunia. Lata wojny spędził w Krakowie jako robotnik w Elektrowni Miejskiej. W kwietniu 1945 r. przybył do Gdańska i wziął udział w odbudowie, uruchomieniu i organizacji Politechniki Gdańskiej. W listopadzie 1945 r. rozpoczął wykłady na zorganizowanym przez siebie Wydziale Elektrycznym, a w 1946 r. został powołany na stanowisko profesora nadzwyczajnego. W 1950 r. uzyskał na Politechnice Warszawskiej stopień doktora nauk technicznych, a w 1958 r. otrzymał tytuł profesora zwyczajnego.

Prof. K. Kopecki był pierwszym dziekanem Wydziału Elektrycznego (1945-1950), a następnie pełnił funkcje prorektora (1951-54, 1954-56 i 1959/60) oraz rektora Politechniki Gdańskiej (1954 i 1960-66). Przez 24 lata był kierownikiem Katedry, która od 1945 r. nosiła nazwę Katedry Urządzeń Elektrycznych, Sieci i Gospodarki Elektrycznej, a potem została przemianowana na Katedrę Elektroenergetyki. W wyniku dalszego intensywnego rozwoju z Katedry tej wyłoniły się: Katedra Elektrotechniki Przemysłowej (1957), Katedra Automatyki (1966) i Ośrodek Obliczeniowy (1966). W 1969 r. przez połączenie kilku katedr utworzono Instytut Elektroenergetyki i Automatyki, którego dyrektorem prof. K. Kopecki był aż do przejścia na emeryturę w 1974 r.

Przez cały okres pracy w Politechnice Gdańskiej Profesor Kopecki prowadził intensywną pracę naukową. Jego dorobek obejmuje łącznie ok. 450 prac, w tym szereg monografii i książek, oraz ogromną liczbę artykułów, referatów i ekspertyz, z których wiele ukazało się w językach obcych. W okresie działalności Komitetu Elektryfikacji Polski PAN (1957-61) Profesor opublikował "Ogólne założenia rachunku gospodarczego w pracach planowo-projektowych w elektroenergetyce" oraz "Rachunek awaryjności i obliczanie rezerw". W pracach tych po raz pierwszy w Polsce zostały sformułowane kryteria wyboru rozwiązania optymalnego z uwzględnieniem rozkładów czasowych kosztów i efektów oraz metody określania niezawodności wielkich systemów elektroenergetycznych. Drugą grupę prac K. Kopeckiego stanowiły pionierskie opracowania z dziedziny ciepłownictwa, które łączyły się z praktycznymi zastosowaniami na terenie Wybrzeża i były związane z koncepcją systemów ciepłowniczych Gdańska i Gdyni oraz lokalizacją nowych elektrociepłowni.

Szereg prac Profesora pochodzi z okresu Jego działalności w Komitecie Badań i Prognoz PAN "Polska 2000" w latach siedemdziesiątych. Do najważniejszych z nich należą: "Prognozowanie techniczne - terminy i określenia" (1970), "Zasoby surowców energetycznych Polski i ich wykorzystanie do 2000 r. na tle bilansu światowego" (1972), "Kapitałochłonność systemów energii użytkowej do 2000 r. na poziomie wytwarzania i przesyłania" (1973) oraz "Wpływ kryzysu energetycznego na zagadnienia surowcowe Polski" (1975).

Prace naukowe prof. K. Kopeckiego dotyczyły głównie ekonomiki energetyki kompleksowej, matematycznych modeli optymalizacyjnych rozwoju i zarządzania wielkimi systemami, prognozowania długoterminowego, niezawodności systemów energetycznych, zagadnień substytucji i doboru nośników energetycznych, źródeł energii szczytowej i ochrony środowiska naturalnego. Tą drogą, a także dzięki kierowaniu licznymi pracami doktorskimi i opiece nad wieloma pracami habilitacyjnymi zostały stworzone podstawy rozwoju nowej gałęzi nauki, jaką w ciągu ostatnich 20 lat stała się energetyka kompleksowa, obejmująca swym zasięgiem wszystkie przemiany energetyczne i wszystkie nośniki.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych, a więc już po przejściu na emeryturę, prof. K. Kopecki rozwinął szczególnie owocną działalność naukową i organizacyjną jako przewodniczący Komitetu Problemów Energetyki przy Prezydium PAN. Nawiązał współpracę z Syberyjskim Instytutem Energetycznym w Irkucku oraz Międzynarodowym Instytutem Stosowanej Analizy Systemowej w Laxenburgu w Austrii, którego Polska była współzałożycielem i członkiem. Wykładał za granicą i wygłaszał referaty na światowych kongresach naukowych. W ramach Wszechnicy PAN wydał dwie książki o charakterze popularnonaukowym: "Człowiek w świecie energii" oraz "Jutro energetyczne Polski".

Wraz z kierowanym przez siebie zespołem Profesor Kopecki opracował w 1978 r. obszerną, dwutomową ekspertyzę dla Prezydium PAN pt. "Zaopatrzenie gospodarki narodowej w surowce ze szczególnym uwzględnieniem metod optymalizacji gospodarki paliwowo-energetycznej oraz krajowej bazy surowcowej". Korzystają z niej do dziś liczne placówki naukowe w całym kraju. W 1982 r. opracował osobiście następną, obszerną ekspertyzę na temat energetyki w okresie kryzysu.

Prof. Kopecki był twórcą wielkiej szkoły naukowej. Wypromował łącznie 22 doktorów, z których ośmiu uzyskało habilitację, a kilku jest profesorami. Swoich uczniów i następców uczył przede wszystkim myślenia ekonomicznego o sprawach technicznych oraz patrzenia na rozwój energetyki w powiązaniu z rozwojem całej gospodarki; uczył rzetelności naukowej, umiłowania prawdy, umiejętności uczciwej dyskusji i obrony swoich przekonań oraz solidarnej, zespołowej pracy.

Za swoje osiągnięcia naukowe prof. K. Kopecki otrzymał szereg zaszczytnych odznaczeń. W 1970 r. Uniwersytet w Manchester nadał Mu godność Honorary Fellow będącą odpowiednikiem doktoratu honoris causa. Wyróżnienie to przyznano wówczas po raz pierwszy uczonemu spoza krajów zachodnich. Równie zaszczytnym wyróżnieniem prof. K. Kopeckiego było przyznanie Mu przez Prezydium PAN w 1973 r. Medalu im. Mikołaja Kopernika za wybitne osiągnięcia naukowe oraz nadanie przez Politechnikę Gdańską w 1975 r. godności doktora honoris causa.

Prof. K. Kopecki był członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, a od 1956 r. Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, którego był współzałożycielem i współorganizatorem. W latach 1958-62 pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Wydziału Nauk Technicznych GTN i do końca życia brał aktywny udział w działalności tego Towarzystwa. W Naczelnej Organizacji Technicznej pracował społecznie przez szereg lat jako przewodniczący Polskiego Komitetu Gospodarki Energetycznej. Otrzymał godność członka honorowego Stowarzyszenia Elektryków Polskich. Był również znanym filatelistą i rzeczoznawcą w tej dziedzinie. Interesował się muzyką i historią sztuki oraz kulturą i historią północno-zachodnich Słowian.

Profesor Kopecki żył i tworzył w takim okresie historycznym, w którym nieraz trudno było znaleźć zrozumienie dla głoszonych przez Niego poglądów na temat racjonalnej gospodarki energetycznej, opartej na zdrowych zasadach ekonomicznych, w tym m. in. na zasadzie minimalizacji całkowitych kosztów rocznych albo maksymalizacji zysku. Mimo to Profesor stworzył w wielu dziedzinach podstawy teoretyczne rozwoju nowej gałęzi nauki, jaką za Jego życia stała się energetyka kompleksowa.

Swoim uczniom i współpracownikom imponował dalekowzrocznością i szerokością spojrzenia na problemy energetyki kompleksowej; dawał godny naśladowania przykład ogromną aktywnością we wszystkich dziedzinach swojej wielokierunkowej działalności: w badaniach naukowych i opiece nad rozwojem młodych pracowników naukowych, w kształceniu i wychowywaniu młodzieży studiującej, w nieustępliwej walce o rozwój energetyki i lepsze jutro Polski.

Prof. Kopecki zmarł 11 marca 1984 r. Senat Politechniki Gdańskiej uczcił Jego pamięć na nadzwyczajnym posiedzeniu zorganizowanym wspólnie z Radą Wydziału Elektrycznego. Pogrzeb Profesora odbył się na cmentarzu w Gdańsku-Oliwie z udziałem licznie zgromadzonych Jego współpracowników, kolegów i przyjaciół oraz uczniów i wychowanków.

W dziesiątą rocznicę śmierci prof. K. Kopeckiego Katedra Elektrowni i Gospodarki Energetycznej zorganizowała krajowe seminarium naukowe, na którym wygłoszono łącznie 27 referatów. Dominowały w nich problemy o charakterze techniczno-ekonomicznym, dotyczące zarówno elektrowni i systemów elektroenergetycznych, jak i urządzeń cieplnoenergetycznych oraz systemów ciepłowniczych. W tych bowiem dziedzinach powstawały pionierskie prace Profesora Kopeckiego, który zajmował się w swoim czasie nie tylko metodami planowania rozwoju systemów energetycznych, elektrowni cieplnych, wodnych i jądrowych, elektrociepłowni zawodowych i przemysłowych, lecz także i przede wszystkim ekonomicznymi aspektami budowy i modernizacji urządzeń i obiektów energetycznych, metodami optymalizacyjnymi w energetyce oraz badaniem niezawodności zaopatrzenia w energię, zarówno elektryczną, jak i cieplną.

Z referatów opracowanych specjalnie na powyższe seminarium przez liczne i reprezentatywne grono autorów, którzy zajmują się obecnie planowaniem i eksploatacją systemów zaopatrzenia w energię w warunkach rozwijającej się gospodarki rynkowej w Polsce, wynikają różne nowe zagadnienia naukowe i techniczne, przed którymi stoi teraz energetyka krajowa. Od ich pomyślnego rozwiązania zależy bezpieczeństwo energetyczne kraju oraz zaspokojenie potrzeb energetycznych wszystkich odbiorców - wielkich i małych, państwowych i prywatnych, w miastach i na wsi, wszystkich użytkowników energii zużywanej do różnych celów i pod różnymi postaciami.

Jacek Marecki
Wydział Elektryczny

Rys historyczny 50-lecia Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej 1945 - 1995

Przypadający w 1995 r. Jubileusz 50-lecia Wydziału Mechanicznego w polskiej technicznej uczelni akademickiej - Politechnice Gdańskiej, i zarazem przypadająca 50. rocznica wyzwolenia i powrotu Gdańska do Macierzy, stanowią historyczną i podniosłą uroczystość obchodów rocznicowych Uczelni i Wydziału Mechanicznego.

Niełatwe były początki Politechniki Gdańskiej i Wydziału Mechanicznego, które 50 lat temu powstały na gruzach niemieckiej uczelni z czasów Cesarstwa Niemieckiego i Królestwa Pruskiego w 1904 r. W kilka dni po wyzwoleniu Gdańska w 1945 r. rozpoczęła się batalia o szybką odbudowę uczelni i przywrócenie organizacyjno - prawnych podstaw działalności dydaktyczno - naukowej.

Pierwszym mianowanym rektorem Politechniki Gdańskiej został prof. dr inż. Stanisław Łukasiewicz, były profesor Politechniki Warszawskiej i kierownik Katedry Maszyn Dźwigowych Wydziału Mechanicznego. Zgodnie z art. 2 p. 1 Dekretu o powołaniu Politechniki Gdańskiej z dnia 24 maja 1945 r., rektor powierzył organizację Wydziału Mechanicznego kierownikowi Katedry Silników Spalinowych prof. dr. inż. Karolowi Taylorowi, byłemu profesorowi i długoletniemu dziekanowi Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej. Na stanowisko pomocnika dziekana Wydziału Mechanicznego powołano prof. dr. inż. Wiktora Wiśniowskiego, kierownika Katedry Teorii Maszyn Cieplnych.

Pierwszoplanowym zadaniem Wydziału Mechanicznego było zorganizowanie dziekanatu, utworzenie struktury katedralnej i obsady kierowniczej, przeprowadzenie rekrutacji na pierwszy rok studiów oraz wyznaczenie terminu rozpoczęcia zajęć dydaktycznych. Wiele pracy i trudu należało włożyć w przygotowanie sal wykładowych, kreślarni i laboratoriów niezbędnych do uruchomienia Wydziału Mechanicznego. Ocalałe przed zniszczeniem laboratorium szynowe okazało się w tym czasie bardzo użyteczne i pomocne. W tym właśnie laboratorium należącym do Wydziału Mechanicznego powstała pierwsza elektrownia, która przekazywała energię elektryczną dla miasta i portu gdańskiego oraz dla całej uczelni. W pomieszczeniach laboratorium urzędowała także ministerialna delegacja ds. organizacji uczelni oraz inne jednostki organizacyjne Wydziału Mechanicznego i Wydziału Budowy Okrętów, 22 października 1945 r. rozpoczęła się nauka na wszystkich wydziałach. Był to początek roku akademickiego 1945/46, po raz pierwszy w dziejach polskiej akademickiej uczelni technicznej - Politechniki Gdańskiej, i zarazem pierwszy rok akademicki na Wydziale Mechanicznym. Uwieńczony został trud wielomiesięcznych zmagań, których celem było rozpoczęcie działalności dydaktycznej uczelni. Ta historyczna data 22 października 1945 r. jest faktyczną datą obchodów jubileuszowych 50-lecia Wydziału Mechanicznego.

O dużym zainteresowaniu młodzieży studiami technicznymi świadczył fakt, że w pierwszym roku akademickim na Wydziale Mechanicznym rozpoczęło studia 404 studentów, co stanowiło 25% ogólnego stanu studiujących. Rekrutowali się głównie z powracających z frontu żołnierzy, z lasów partyzantów, więźniów obozów jenieckich, obozów koncentracyjnych, absolwentów tajnego nauczania, oraz ze studentów, którym studia przerwała wojna. Spontaniczny ruch młodzieży odzwierciedlał potrzeby utworzenie uczelni i zapotrzebowania na kadrę inżynierską niezbędną do odbudowy zniszczonego kraju. Ugruntowany został pogląd, że polska uczelnia techniczna w stolicy morskiej w Gdańsku jest tworem silnie związanym z gospodarką morską, nauką i kulturą. Nauka i kultura służące ogółowi społeczeństwa zawsze były i są wzbogacane przez wybitne i utalentowane jednostki ludzkie.

Wielkie znaczenie dla Wydziału Mechanicznego PG miało pozyskanie wybitnych naukowców i dydaktyków. Do nich należy zaliczyć pierwszych organizatorów Wydziału Mechanicznego i ustrojów katedralnych tworzącej się struktury uczelni. Wśród wielkich autorytetów grona naukowego, wpisanych na pierwszej karcie historii Wydziału Mechanicznego w 1945 r., znajdują się następujące osoby:

prof. dr n.t. Maksymilian Tytus HUBER - były profesor Politechniki Lwowskiej i Warszawskiej, były prezes Akademii Nauk Technicznych. Wybitny specjalista z dziedziny mechaniki i wytrzymałości materiałów. Jego dzieło naukowe "Hipoteza energii odkształcenia postaciowego" było światowym osiągnięciem naukowym. W październiku 1945 r. objął kierownictwo Katedry Mechaniki Technicznej i Wytrzymałości Materiałów;



Prof. M. T. Huber (1872-1950), kierownik Katedry Mechaniki

Pierwsza inauguracja roku akad. 1945/46 w Politechnice Gdańskiej odbyła się 9 kwietnia 1946 r. w Audytorium Maximum



Prof. Maksymilian Tytus Huber wygłasza wykład inauguracyjny pt. "Technika współczesna a wiedza"

Pierwszy rektor i pierwsi prorektorzy w Politechnice Gdańskiej członkowie Rady Wydziału Mechanicznego

Stanisław Łukasiewicz
prof. zw. dr inż.
rektor Politechniki Gdańskiej
1945-1946



(1884-1960)

kierownik Katedry Maszyn Dźwigowych i Przenośnych

Stanisław Turski
prof. nadzw. dr
prorektor ds. nauczania
1945-1946



(1906-1986)

kierownik Katedry Matematyki

Edward Tadeusz Geisler
prof. zw. inż.
prorektor ds. nauki
1945-1946



(1884-1966)

kierownik Katedry Budowy Obrabiarek do Metali

prof. dr inż. Stanisław ŁUKASIEWICZ - były profesor Politechniki Warszawskiej i Lwowskiej, specjalista z dziedziny maszyn dźwigowych. We wrześniu 1945 r. został mianowany pierwszym rektorem Politechniki Gdańskiej i jednocześnie objął kierownictwo Katedry Maszyn Dźwigowych i Przenośnikowych;

prof. dr Stanisław TURSKI - były docent matematyki Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Przewodniczący delegacji Ministerstwa Oświaty wchodzącej w skład grupy operacyjnej do spraw Gdańska i Politechniki Gdańskiej; pierwszy prorektor i drugi z kolei rektor PG oraz kierownik Katedry tematyki wchodzącej w skład Wydziału Mechanicznego;

prof. dr inż. Edward Tadeusz GEISLER - były profesor Politechniki Lwowskiej, konstruktor - technolog i specjalista z dziedziny obrabiarek do metali i zagadnień technologicznych. W 1945 r. objął kierownictwo Katedry Obrabiarek do Metali, oraz pełnił funkcję prorektora;

prof. dr inż. Adolf POLAK - były profesor Politechniki Lwowskiej, konstruktor pierwszych budowanych w Polsce przedwojennej wysokoprężnych silników spalinowych i pierwszych budowanych w Polsce powojennej głównych okrętowych maszyn parowych i mechanizmów okrętowych. W 1945 r. objął kierownictwo Katedry Elementów Maszyn;

prof. dr inż. Michał BROSZKO - były profesor i dziekan Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej, wybitny uczony z dziedziny hydromechaniki i maszyn wodnych. W latach przedwojennych posiadał zaszczytny tytuł członka rzeczywistego Polskiej Akademii Umiejętności w 1945 r. objął kierownictwo Katedry Hydromechaniki i Budowy Turbin Wodnych;

prof. dr inż. Karol TAYLOR były profesor i pierwszy dziekan Wydziału Mechanicznego oraz kierownik Katedry Silników Spalinowych Politechniki Warszawskiej. W 1945 r. powołany został na pierwszego dziekana Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej i jednocześnie objął kierownictwo Katedry Silników Spalinowych;

prof. dr inż. Wiktor WIŚNIOWSKI - były adiunkt Politechniki Lwowskiej, specjalista z zakresu termodynamiki. W lipcu 1945 r. objął kierownictwo Katedry Teorii Maszyn Cieplnych

prof. dr inż. Karol Taylor



Pierwszy dziekan Wydziału Mechanicznego w latach 1945 - 1948

prodziekan Wydziału Mechanicznego w latach 1948 - 1951

kierownik Katedry Silników Spalinowych w latach 1945 - 1959

prof. dr inż. Wiktor Wiśniowski



Pierwszy zastępca dziekana Wydziału Mechanicznego w latach 1945 - 1948 i pierwszy sekretarz Rady Wydziału Mechanicznego PG

kierownik Katedry Teorii Maszyn Cieplnych w latach 1945 - 1959

kurator Bratniej Pomocy Studentów Politechniki Gdańskiej w latach 1945 - 1949

i jednocześnie sprawował funkcję zastępcy dziekana i sekretarza Rady Wydziału Mechanicznego PG;

prof. inż. Władysław FLORIAŃSKI - były profesor Politechniki Lwowskiej i kierownik Lwowskiej Szkoły Przemysłowej; konstruktor samolotów przed pierwszą wojną światową i wykładowca przedmiotów ogólnotechnicznych; utalentowany w dziedzinie malarstwa, sztuki i poezji. W 1945 r, objął kierownictwo Katedry Rysunku Technicznego;

prof. dr hab. Arkadiusz PIEKARA - były docent Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Wybitny naukowiec z dziedziny fizyki. Uczestnik A K -owskiego ruchu oporu, przyczynił się do rozszyfrowania tajemnic rakiety V2 i przesłania dokumentacji do Londynu w 1943 r. W 1945 r. objął kierownictwo Katedry Fizyki wchodzącej w skład Wydziału Mechanicznego;

prof. inż. Mieczysław DĘBICKI - były kierownik grupy konstrukcyjnej Biura Studiów Państwowych Zakładów Inżynierii w Warszawie, konstruktor samochodów osobowych i ciężarowych. W kwietniu 1945 r. uczestniczył w grupie operacyjnej ds. organizacji transportu w Gdańsku, a następnie objął kierownictwo Katedry Budowy Pojazdów Mechanicznych. Pod Jego kierunkiem skonstruowany został pierwszy polski powojenny samochód ciężarowy pod nazwą STAR 20;

prof. dr inż. Witold OKOŁO-KUŁAK - były adiunkt Politechniki Lwowskiej, specjalista z dziedziny teorii maszyn cieplnych. W 1945 r. zatrudniony został w Katedrze Turbin Parowych i Spalinowych pod kierunkiem prof. Roberta Szewalskiego, a w latach 1950-1954 pełnił obowiązki kierownika Katedry Teorii Maszyn Cieplnych na Wydziale Mechanicznym PG;

prof. inż. Marian SIENKOWSKI - były kierownik badania stali w Instytucie Metaloznawstwa przy Politechnice Warszawskiej i równocześnie wykładowca w Wyższej Szkole Wojsk Inżynieryjnych w Warszawie. W 1946 objął kierownictwo Katedry Metaloznawstwa i Materiałoznawstwa.

Dla Wydziału Mechanicznego podjęli również pracę kierownicy Katedr Turbin Parowych i Spalinowych oraz Kotłów Parowych i Maszynoznawstwa, mieszczących się w laboratorium maszynowym, lecz organizacyjnie przyporządkowanych do Wydziału Budowy Okrętów:

prof. dr inż. Robert SZEWALSKI - były profesor Katedry Turbin Parowych i Spalinowych Politechniki Lwowskiej i

prof. inż. Antoni KOZŁOWSKI - były długoletni inżynier i kierownik Dozoru Kotłów w Warszawie.

Do powyższej czołówki autorytetów naukowych należy wpisać również wyróżniających się młodych naukowców, którzy w krótkim czasie zdobyli tytuły profesorskie na Politechnice Gdańskiej, a byli to:

prof. dr inż. Jarosław NALESZKIEWICZ - z Warszawskiego Instytutu Badań Lotniczych, specjalista z dziedziny mechaniki i wytrzymałości materiałów;

prof. inż. Józef WYSOCKI - z Instytutu Aerodynamiki przy Politechnice Warszawskiej. W latach 1948 - 1951 pełnił funkcję drugiego z kolei dziekana Wydziału Mechanicznego;

prof. inż. Włodzimierz MERMON - z Politechniki Lwowskiej, specjalista z dziedziny technologicznej;

prof. inż. MARIAN PIĄTEK - z Politechniki Lwowskiej, specjalista z dziedziny mechaniki i wytrzymałości materiałów;

prof. inż. Roman STEFEK - z Politechniki Lwowskiej, specjalista z zakresu wytrzymałości materiałów.

Do tej grupy należy również zaliczyć byłych konstruktorów przemysłu maszynowego, są to inżynierowie konstruktorzy budowy maszyn: Henryk Więckiewicz, Tadeusz Gerlach, Kazimierz Zygmunt, Władysław Krzyżanowaki i Alfred Rachalski, którzy później dołączyli do składu grona profesorskiego na Wydziale Mechanicznym Politechniki Gdańskiej.

Przy tej okazji warto przytoczyć kilka fragmentów z pamiętnika prof. Roberta Szewalskiego o Jego przyjeździe pociągiem ewakuacyjnym ze Lwowa do Gdańska i Jego pierwszym spotkaniu na uczelni. Na początku listopada 1945 r. wczesnym rankiem odczepiono wagon od lokomotywy i podstawiono na bocznym torze pod wiaduktem przy ul. Kościuszki we Wrzeszczu. Wysłany do uczelni kolega musiał zawiadomić kierownictwo uczelni o przyjeździe repatriantów ze Lwowa, długo jednak nie wracał. Gdy wreszcie pojawił się, to już w towarzystwie sporej gromady przybyłych tu wcześniej pracowników uczelni i studentów, którzy zechcieli pomóc w wyładowaniu przywiezionego dobytku i przewiezieniu go na samochodach na nowe kwatery. Cała akcja odbyła się bardzo sprawnie i przed wieczorem wszystkie przybyłe rodziny znalazły się wraz z dobytkiem w przydzielonych im mieszkaniach. Prof. Robert Szewalski otrzymał wtedy pomieszczenie mieszkalne przy ul. Batorego we Wrzeszczu, gdzie przez długie lata zamieszkiwał. Tego samego dnia nastąpiło bardzo miłe przywitanie się z nowymi współpracownikami znanymi już z okresu studiów w Politechnice Lwowskiej, z panami: Witoldem Około-Kułakiem i Stefanem Peryczem.

Następnego dnia prof. Robert Szewalski udał się do rektoratu, aby osobiście podziękować rektorowi prof. Stanisławowi Łukasiewiczowi za zaproszenie do Gdańska, i zgłosił swoją gotowość do objęcia kierownictwa Katedry Turbin Parowych i Spalinowych. Rektor poinformował, że Katedra obsługiwać będzie równolegle dwa Wydziały: Mechaniczny i Budowy Okrętów. Prorektor prof. Stanisław Turski wskazał tymczasową lokalizację katedr w budynku Laboratorium Maszynowego, gdzie kierownik Katedry Teorii Maszyn Cieplnych i bliski kolega z Politechniki Lwowskiej prof. Wiktor Wiśniowski wyraził chętną gotowość odstąpienia dwóch pokoi. W tych przydzielonych pokojach były tylko dwa niewielkie stoły i jedno krzesło zdatne do użytku, ale dzięki życzliwej pomocy kolegów z innych zakładów naukowych skompletowany został w ciągu kilku dni najkonieczniejszy, choć zrazu bardzo prymitywny zestaw meblowy umożliwiający podjęcie prac

Po wizycie złożonej u rektora, prof. Robert Szewalski zgłosił się do Wydziału Mechanicznego, do urzędującego już z dużą energią dziekana prof. Karola Taylora. Spotkanie odbyło się w bardzo życzliwej atmosferze, omówione zostały sprawy organizacyjno - dydaktyczne i współpracy Katedry z Wydziałem. W aktualnej fazie organizacji Wydział Mechaniczny należał do największych w uczelni; w jego skład wchodziły 3 oddziały - ogólnokonstrukcyjny, samochodowy i technologiczny oraz czwarty oddział lotniczy będący w stadium organizacji.

Prawdziwą ozdobę i chlubę Wydziału Mechanicznego stanowiła postać prof. Maksymiliana Tytusa Hubera. Prof. Robert Szewalski osobiście przeżywał z wielką radością spotkanie ze swoim mistrzem, którego znakomitych wykładów słuchał w uczelni lwowskiej, a następnie od 1927 był Jego asystentem. Obok prof. M.T. Hubera wielkim autorytetem cieszył się prof. Michał Broszko, prof. Edward Tadeusz Geisler i prof. Adolf Polak.

Tak spotykali się w Gdańsku, po 6-letniej przerwie wojennej, przedstawiciele dwóch pokoleń, nierzadko mistrz i uczeń, którzy zasiadali jako członkowie Rady Wydziału Mechanicznego, aby na gruzach niemczyzny wspólnym wysiłkiem budować trwałe zręby pod rozwój nauki polskiej w Politechnice Gdańskiej.

Wydział Mechaniczny bardzo prędko przysposobił się do podjęcia podstawowych swych funkcji, stawiając sobie następujące cele i zadania:

- ogólne przygotowanie inżynierów mechaników, konstruktorów, eksploatatorów technologów, w oddziałach konstrukcji i eksploatacji maszyn oraz mechanicznej technologii maszyn,

- specjalizacyjne przygotowanie inżynierów w nowych działach, przed wojną nie prowadzonych, a niezbędnych w nowej powojennej rzeczywistości gospodarczej Polski i postępu technicznego w zakresie budowy maszyn i mechanizacji pracy.

- uwzględnienie w organizacji naukowej i dydaktycznej, regionalnych potrzeb i perspektyw gospodarczych nadmorskiego pasa kraju. Przystępując do realizacji powyższych zadań i celów, Wydział Mechaniczny utworzył nie prowadzone przed wojną następujące Oddziały, Sekcje i Katedry niezbędne wobec potrzeb życia gospodarczego kraju, a mianowicie:

- Oddział Maszyn Rolniczych i Mechanizacji Rolnictwa,

- Oddział Maszyn do Obróbki Drewna i Technologii Wyrobów z Drewna,

- Sekcja Maszyn Budowniczych ze szczególnym uwzględnieniem maszyn do robót ziemnych i wodnych,

- Sekcja Lotnictwa,

- Katedra Maszyn dla Przerobu Płodów Rolnych.

Z chwilą rozpoczęcia zajęć dydaktycznych w pierwszym roku akademickim 1945/46, w skład Wydziału Mechanicznego wchodziły następujące katedry wraz z obsadą kierowniczą:

Lp.	Nazwa Katedry	Obsada
1	Matematyki	prof. Stanisław Turski doc. Bronisław Czerwiński
2	Fizyki	prof. Arkadiusz Piekara
3	Matematyki Technicznej	prof. Maksymilian T. Huber prof. Jarosław Naleszkiewicz
4	Wytrzymałości Materiałów i Wyższych Zagadnień Mechaniki	prof. Maksymilian T. Huber
5	Rysunku Technicznego	prof. Władysław Floriański
6	Obróbki Metali	inż. Ludwik Eker prof. Włodzimierz Mermon
7	Budowy Obrabiarek do Metali	prof. Edward T. Geisler
8	Teorii Maszyn Cieplnych	prof. Wiktor Wiśniowski
9	Pomiarów, Badań Maszyn i Gospodarki Cieplnej	prof. Antoni Kozłowski
10	Elementów Maszyn	prof. Adolf Polak
11	Budowy Maszyn Dźwigowych i Przenośnikowych	prof. Stanisław Łukasiewicz
12	Silników Spalinowych	prof. Karol Taylor
13	Hydromechaniki i Budowy Turbin Wodnych	prof. Michał Broszko
14	Budowy Pojazdów Mechanicznych	prof. Mieczysław Dębicki
15	Aerodynamiki	prof. Józef Wysocki
16	Ekonomii Politycznej	prof. Zdzisław Grabski
17	Organizacji Pracy Umysłowej i Psychotechniki	prof. Janusz Schwarz
18	Metaloznawstwa i Materiałoznawstwa	prof. Marian Sienkowski
19	Turbin Parowych i Spalinowych	prof. Robert Szewalski
20	Kotłów Parowych	prof. Antoni Kozłowski
	poniższe Katedry rozpoczęły działalność w 1948 roku	
21	Budowy Parowozów i Maszyn Parowych	vacat
22	Budowy Obrabiarek do Drewna	vacat
23	Budowy Maszyn Budowlanych	vacat
24	Budowy Maszyn do Przerobu Płodów Rolnych	vacat
25	Konstrukcji i Budowy Płatowców	wykł. Tadeusz Sołtyk
26	Budowy Maszyn Rolniczych	prof. Michał Sołtan
27	Technologii Materiałów Maszynowych	z-ca. prof. Jan Miś

Oficjalna inauguracja pierwszego roku akademickiego 1945/46 odbyła się 9 kwietnia 1946 r. Była to wielka uroczystość na miarę tamtych dni i czasów, pół wieku temu. W największej sali, jaką dysponowała wówczas uczelnia, w Audytorium Maximum, licznie zebrała się kadra naukowo - dydaktyczna, studenci oraz pracownicy i zaproszeni goście. Sala nie była w stanie pomieścić tak licznej rzeszy zebranych. Ze wzruszeniem wysłuchano przemówienia rektora prof. Stanisława Turskiego, a potem po raz pierwszy rozbrzmiała w murach Politechniki Gdańskiej pieśń "GAUDE MATER POLONIA". Wykład inauguracyjny na temat "TECHNIKA WSPÓŁCZESNA A WIEDZA PRZYRODNICZA" wygłosił jeden z największych ówczesnych uczonych z dziedziny mechaniki, senior prof. Maksymilian Tytus Huber. Po wspaniałym i porywającym wykładzie wygłoszonym z wielką swadą, prof. M.T. Huber doniosłym głosem nacechowanym wielką miłością Ojczyzny, zwrócił się do młodzieży z patriotycznym apelem "SALUS REI PUBLICAE SUPREMA LEX ESTO" - co znaczy "DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NIECH BĘDZIE NAJWYŻSZYM PRAWEM". Wszyscy zebrani zgotowali prof. M.T. Huberowi żywiołową owację. Wśród nie milknących oklasków i okrzyków rektor prof. Stanisław Turski ogłosił

wtedy rok akademicki 1945/46, pierwszy rok pracy polskiej Politechniki Gdańskiej - za otwarty. Oklaskom nie było końca, gdy wydawało się, że już milkną, zrywały się na nowo, i wciąż na nowo, a z twarzy zgromanych bił prawdziwy entuzjazm i uniesienie.

Chwila ta zapisała się na trwale w pamięci wszystkich uczestników tej uroczystości, a dziś po 50 latach odtwarzamy jej historyczne znaczenie w wolnym i niepodległym kraju i przekazujemy następnym pokoleniom społeczności akademickiej, ażeby pamięć o tych wspaniałych wydarzeniach żyła wiecznie i przekazywana była przykładnie po wsze czasy.

Ciąg dalszy w następnymj numerze

Edward Gill
Wydział Mechaniczny

Wydawnictwo bez tajemnic

czyli o edytorskich problemach słów kilka

Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej - jeśli jego istnienie datować pierwszym wydanym skryptem, a ten trafił do rąk studentów już w 1955 roku - pożółkłe tomiszcze w nieporęcznym "akademickim" formacie A-4 - liczy sobie okrągłe 40 lat. Okres ten przyniósł blisko siedemset tytułów podręczników i niewiele mniej numerów zeszytów naukowych - każdy rok wzbogacał ofertę o nową mutację: 1955 - to pierwszy numer Chemii, lata kolejne - pierwsze numery Łączności (obecna Elektronika), Mechaniki, Budownictwa Wodnego, Lądowego i Okrętowego itd., aż do ostatnio powołanych Automatyki i Filozofii.

W sumie - tony zadrukowanego, porosłego już kurzem papieru, zamknięty w archiwalnych szafach ułamek historii uczelni, a zarazem świadectwo rozwoju rodzimej myśli technicznej i...technik poligraficznych. Od powielonego metodą powielaczową rękopisu, poprzez skład maszynowy, coraz staranniejszy, z "ręcznie" wyrównanym marginesem - do finezyjnego, acz pracochłonnego oraz, wbrew pozorom, wymagającego znacznego kunsztu i - co dziś niebagatelne - nietaniego składu komputerowego.

Dość jednak sentymentalnych wspomnień, zwłaszcza że udziałem piszącej nie były, szczęściem, te pierwsze lata, znane raczej z opowieści i źródeł pisanych.

Każda rocznica daje asumpt do zastanowienia się nie tylko nad dokonaniami - bo tych świadectwem są wypełnione skryptami półki uczelnianej księgarni - lecz przede wszystkim każe postawić sobie pytanie o szanse rozwoju, czyli trywialne: i co dalej?

Kryzys przeżywa szkolnictwo wyższe, nie mógł więc on ominąć i wydawnictw akademickich, skoro źródła ich finansowania są zbieżne - a budżet jakże ubogi. Zdawać by się mogło, że wielkie możliwości kryją się w tak powszechnej i modnej dziś komercjalizacji działalności wszelkich, a więc czemu nie wydawniczej. Bowiem, czy branża ta nie może przynosić profitów? Ależ tak! Oczyma wyobraźni widzę mnożące się nakłady romansideł (i nie tylko...) rozchwytywanych przez żądnych rozmaitych emocji czytelników - i wartkim strumieniem płynące do kiesy uczelnianej zyski. Ale bez ironii - przecież i na książce naukowej czy popularnonaukowej zarobić można. Świadczą o tym dowodnie przykłady wytworów umysłów i piór panów Stephena Hawkinga (przykład obcy) i Jana Bieleckiego (przykład rodzimy). Lecz do tego potrzeba spełnienia swoistych uwarunkowań - o tym przekonywać w miarę zorientowanego "w temacie" czytelnika chyba nie muszę.

Powróćmy jednak "na ziemię". Wymiana doświadczeń na płaszczyźnie zjazdów wydawców akademickich, a także wyniki badań ankietowych, jak te ostatnio prezentowane na łamach "Forum Akademickiego" - potwierdzają wspólnotę problemów piętrzących się przed wydawnictwami uczelnianymi, nie dając jednak recepty na radykalną zmianę. Takiej bowiem nie ma i być nie może. Przy ustalonym a koniecznym trendzie wydawniczym - niskie nakłady skryptów wąskich specjalności oraz jeszcze niższe publikacji dorobku naukowego uczelni - na sukces ekonomiczny liczyć nie można. I niech nie zmylą nikogo coraz liczniej organizowane zjazdy wydawców książek, tudzież rozmaitego autoramentu targi książki technicznej i akademickiej. Nie zmienią one w istotny sposób ani dystrybucji skryptów, które z założenia mają lokalny zasięg, tworzone są bowiem dla konkretnego odbiorcy; nie zmienią jej również wszelkie powtarzające się inicjatywy wydawania "wspólnych" skryptów przez uczelnię wiodącą w danej dziedzinie. Pomysł to nienowy, lecz tyleż szlachetny, co nierealizowalny. Tajemnicą poliszynela bowiem jest, iż każdy wykładowca przedkłada nad inne - kompendia własnego autorstwa, ściśle dostosowane do realizowanego programu.

> ***Wymiana doświadczeń na płaszczyźnie zjazdów wydawców akademickich, a także wyniki badań ankietowych, jak te ostatnio prezentowane na łamach "Forum Akademickiego" - potwierdzają wspólnotę problemów piętrzących się przed wydawnictwami uczelnianymi, nie dając jednak recepty na radykalną zmianę.***

W warunkach ograniczeń finansowych rodzą się pomysły, aby oprzeć działalność wydawniczą na prawie handlowym poprzez komercjalizację. Dziwne się one wydają w dobie, gdy istniejące od dawien dawna, o ustalonej renomie i znakomitym doświadczeniu, z rozbudowaną reklamą i siecią rozpowszechniania, centralne wydawnictwa naukowe, aby utrzymać się na powierzchni, walczą o klienta przychodzącego z własną gotówką, własną - czytaj: otrzymaną z MEN-u, w formie grantu, lub KBN-u - w postaci dotacji. Drogi więc różne, "kocioł" ten sam - budżet państwa. Bowiem prawda jest jedna i niezmienna - ktoś książkę techniczną dla wąskiego kręgu odbiorców dofinansować musi. A na potwierdzenie - dla laików-niedowiarków - przykładowa kalkulacja wydania przeciętnego skryptu: 200 zadrukowanych stron w skromnej kartonowej jednobarwnej okładce , przy średnim nakładzie 500 egz. - to około 7 000 PLN, czyli nowych złotych polskich. Aby przychód zrównoważył koszty wytworzenia, jeden egzemplarz powinien kosztować 14 złotych (!) , a sprzedajemy go za 4. I tak otrzymujemy paradoks:

"ujemny zysk". A o prawdziwych zyskach potentatów-"harlekinowców" trudno się wypowiadać - szlachetny obyczaj podawania w stopkach redakcyjnych nakładów edycji zanikł, i słusznie: niech nikt nikomu do portfela nie zagląda.

Nie zgłębiony został również cel przekształcania - nieczęsto, ale jednak - wydawnictw uczelnianych w "oficyny akademickie". Słownikowa definicja bowiem głosi, że oficyna - to również wydawnictwo, i nie wskazuje na odmienne zasady jego działania. Czyżby więc niezmienny profil pod nowym, szumnym szyldem?

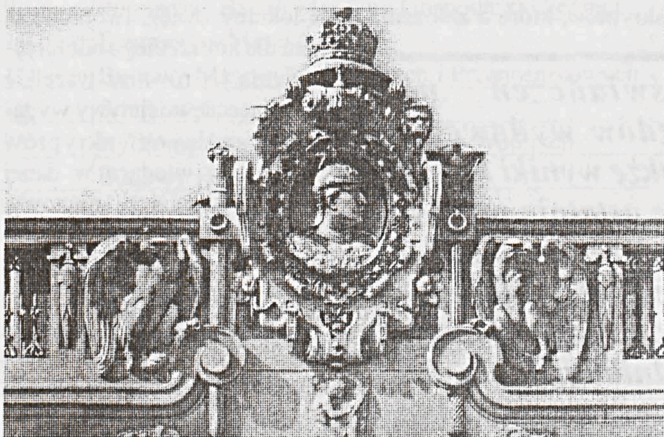
Gdyby chcieć oceniać Wydawnictwo PG na tle analogicznych uczelnianych placówek, w oczy rzuciłoby się jedno - skromność: obsady personalnej (dwie osoby redakcyjno-administracyjne i półtorej dystrybucyjno-księgarskiej), lokalowa (jedno pomieszczenie ogólnoredakcyjne) i wyposażenia (całość majątku szacowana na 50 nowych złotych, plus, extra, komputer). Mniej pracowników i powierzchni użytkowej - to niższe koszty.

A długość cyklu wydawniczego? Bo o tę głównie pytają autorzy, którzy dotarli do końca twórczych trudów i już, zaraz, teraz chcieliby dzieło swoje ujrzeć w rękach bądź czytelników, bądź recenzentów oceniających ukoronowanie dorobku w postaci opublikowanej pracy habilitacyjnej. Trudno dać jednoznaczną odpowiedź, gdyż czynników ubocznych, a niezależnych od Wydawnictwa, jest niemało; opieszały recenzent, niedbała forma składanego tekstu, niechętny do współpracy autor... a czas płynie szybko. W rodzimej Księdze Guinessa odnotowano (oj, niechlubny to rekord) recenzenta pastwiącego się nad rozprawą habilitacyjną dwanaście miesięcy z górą! Różnorodny, często niezdarny skład komputerowy - efekt mnogości oferowanych edytorów i słabej biegłości składacza, na własnym tekście ćwiczącego opasły "Poradnik użytkownika" - także nie sprzyjają przyspieszeniu tempa wydawniczych działań. I dlatego czas druku, liczony od przekazania tekstu skorygowanego po recenzjach, waha się od trzech miesięcy do roku.

Niewolna od partykularyzmu troska o wspólne dobro każe więc w tym miejscu wystosować apel do PT Autorów, aby przed przystąpieniem do nadania ostatecznego kształtu swym utworom zechcieli wstąpić w gościnne (podobno) progi Wydawnictwa PG (Gmach Gł."B", p.711 A, tel.22-99), a uzyskają szereg praktycznych, podyktowanych długoletnim doświadczeniem - rad, które pomogą sprawnie przebyć tę niejednokrotnie ciernistą drogę od rękopisu - do witryny naszej księgarni.

Joanna Szłapczyńska
Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej

PRAWDA POWRACA...*



Kartusz nad wejściem do Gmachu Głównego z podobizną cesarza Wilhelma II - 1904. Zdjęcie z Pracowni Historii Politechniki Gdańskiej

Autor artykułu czuje się zobligowany możliwością uczestniczenia w dyskusji nad całą 90-letnią historią (bez przemilczeń i niedomówień) Uczelni, której progi przekroczył jako student 40 lat temu.

Zamiarem autora jest ustosunkowanie się do informacji i artykułów dotyczących działalności organizacji akademickich na Politechnice W.M. Gdańska opublikowanych w ostatnim czasie w trakcie obchodów Roku Jubileuszowego Uczelni.

Wydaje się to istotnym z uwagi nie tylko na fakt, że przeważająca liczba dotychczasowych publikacji nie jest oparta na wystarczająco reprezentatywnych dokumentach (lub sposób podania informacji wprowadza w błąd nie zorientowanych w temacie czytelników), lecz także na fakt, że publikacje te mogą być wykorzystywane jako materiały źródłowe przez innych autorów,

A zatem *ad rem.*

I. Na czwartej stronie oficjalnego "Zaproszenia na Inaugurację r. ak. 1994/95 Politechniki Gdańskiej" w skrótowo podanym zarysie historii uczelni czytamy:

"..., spór o Politechnikę między Polską i Gdańskiem zakończył się w dniu 27 lipca 1921 roku przekazaniem uczelni Wolnemu Miastu Gdańsk. W wyniku podpisania odpowiedniej umowy nie było żadnych ograniczeń w przyjmowaniu Polaków na studia. Liczba studentów Polaków zaczęła dość szybko rosnąć, osiągając 595 już w roku akademickim 1922/23, co w stosunku do całkowitej liczby studentów stanowiło 36 %."

Jak było naprawdę, pisało o tym wielu polskich autorów już w latach dwudziestych. Autor ograniczył się do podania, co pisał Hans Schuler w swej pracy "Weiheimer S.C. Chronik", Darmstadt, 1927, str. 586-587:

"...Przed wojną (W.H: pierwszą) na około 750 studiujących było bardzo niewielu obcokrajowców. W letnim semestrze 1921 roku na około 1000 studiujących było już tylko 65% pochodzących z Reichu Niemców, 22,5% Gdańszczan, 7,5% Polaków i ok. 5% innych narodowości. W zimowym semestrze, 1921/22 było już ok. 10% Polaków.

Największy przypływ cudzoziemców przypadał na zimowy semestr 1922/23; wtedy to na 1850 studiujących (uwaga W.H.: oprócz studentów były też inne kategorie słuchaczy) było 980 Niemców (razem z gdańszczanami) oraz 670 cudzoziemców, a więc 47%. W semestrze letnim 1923 r. udało się ówczesnemu Rektorowi Politechniki, panu tajnemu radcy prof. F.W. Otto Schulze, który od 1919 roku przez 4 lata rektorował z wielkim poświęceniem i żelazną siłą działania, ograniczyć liczbę przyjmowanych Polaków tylko do tych polskich obywateli, którzy pochodzili z terenów dawniej przynależnych do Prus. Następstwem tego działania stało się znaczne ograniczenie liczby Polaków, widoczne już w semestrze letnim 1923 roku. Niezmordowana działalność ówczesnego rektora i pozostałej pro-



Politechnika Gdańska rok 1904. Zdjęcie z Pracowni Historii Politechniki Gdańskiej

fesury wyraziła się w wielu faktach, które polepszyły sytuację studiujących Niemców... Obok normalnej działalności Towarzystwa Dobroczynności, które w tym czasie działało, utworzono Towarzystwo Przyjaciół Politechniki Gdańskiej (Gesell -schaft der Freunde der Danziger Hochschule). Objęło ono swą działalnością całą Rzeszę. Miało w swych szeregach nie tylko byłych studentów Gdańskiej Politechniki, lecz także szereg znaczących ludzi z wielkiego przemysłu, jak również ludzi z elity duchowej. Towarzystwo to płaciło wprowadzone wtedy 'opłaty cudzoziemskie' (Auslandergebühren) za niemieckich studentów. ... Jego główną zasługą było bez wątpienia utworzenie mieszkań dla niemieckich studentów. Jest całkiem zrozumiałe, że Gdański Konwent Seniorów (Dz.S.C.) jak i pozostałe niemieckie stowarzyszenia nie uznawały polskich stowarzyszeń i nie uznawały ich praw honorowych." Nadmienić należy, że wprowadzenie dla wszystkich studentów nie będących obywatelami W.M. Gdańska bardzo wysokiego czesnego oraz ograniczenie studiów tylko dla Polaków pochodzących z b. zaboru pruskiego, a także wyraźne pogorszenie się stosunków polsko-niemieckich w tym okresie, spowodowało odejście ok. 50% studentów Polaków z W. M. Gdańska na inne uczelnie. Przykładem tych wydarzeń był fakt, że np. członkowie polskiej korporacji K! Maritimia (informacja do tej pory nie publikowana) powołanej w W.M. Gdańsku w 1922 roku jako związek akademicki "AD MARE" zmuszeni byli do przeniesienia się na Politechnikę Warszawską (por. "Rocznik Korporacyjny 1828-1928" ; Warszawa, 1928 s. 77).

2. W dniu 5 października 1994 roku w czasie trwania Zjazdu Koła B. Studentów-Polaków Politechniki Gdańskiej 1904-1939, dokonano odsłonięcia w holu Gmachu Głównego PG tablicy pamiątkowej. Wśród wymienionych nazwisk czytamy: ". . . stracony w 1949 roku z wyroku sądu wojskowego PRL - Adam Doboszyński - pierwszy prezes Bratniej Pomocy". Wydaje się, że słusznym będzie wyjaśnienie, że w 1949 roku PRL jeszcze nie istniała. Autorzy tekstu, prawdopodobnie, posłużyli się - obecnie zrozumiałym jeszcze dla wielu - skrótem myślowym dotyczącym określonego okresu historii Polski. Ze względów merytorycznych napis winien jednak zawierać nazwę: "Rzeczpospolita Polska", gdyż nazwa "PRL" została wprowadzona dopiero w 1952 roku.

Zdaniem autora artykułu jest okazja, aby podać podstawowe dane dotyczące powołania w Gdańsku "Bratniej Pomocy". Na Politechnice wszyscy studenci wzorem uczelni niemieckich - zobowiązani byli do należenia do ogólnouczelnianego związku studentów. Celem tego stowarzyszenia było m.in. reprezentowanie studentów wobec władz uczelni, zajmowanie się sprawami bytowymi (zakwaterowanie, wyżywienie), opieką lekarską itp. Na uczelni istniała początkowo Allgemeine Danziger Studentenschaft. Przy znacznym wzroście liczby Polaków w semestrze zimowym 1922/23 zaistniała możliwość, że przy następnych wyborach do władz związku mogą zostać wybrani Polacy. Dlatego w dniu 10 grudnia 1922 roku nastąpiło rozwiązanie ww. związku i założenie nowej organizacji Deutsche Studentenschalt Danzig, do której obok Niemców przystąpiło wielu obywateli polskich narodowości niemieckiej, ukraińskiej i żydowskiej.

Wydarzenie to zostało poprzedzone głośnym - i cytowanym w wielu późniejszych publikacjach - zebraniem Allgemeine Danziger Studentenschaft, na którym - w obecności kuratora ze strony senatu uczelni- z dłuższym przemówieniem w języku niemieckim wystąpił 18-letni wówczas polski student Adam Doboszyński. W życiorysie pisanym przez Jego siostrę, a udostępnionym autorowi przez Jej syna, pana Krisa Malkiewicza z Kanady, czytamy: "... zabierając głos Adam wygarnął Niemcom co polscy studenci mają im do zarzucenia, po czym Polacy wśród szalonej wrzawy opuścili gremialnie salę... Potem nieraz wspominał Adam, iż nigdy później nie miał takiej tremy, jak wówczas, gdy stanął przed ogromnym audytorium złożonym w większości z brodatych i wąsatych Weteranów wielkiej wojny światowej...".

Po opracowaniu statutu i niezbędnych, do zarejestrowania w Senacie uczelni, dokumentów, nastąpiło na przełomie 1922/23 roku oficjalne uznanie przedstawicielstwa studentów-Polaków zorganizowanych w stowarzyszeniu pod nazwą: Bratnia Pomoc Zrzeszenie Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej. Pierwszym prezesem wybrano Adama Doboszyńskiego.

Proces Adama Doboszyńskiego, jednego z liderów obozu narodowego II Rzeczypospolitej, przed wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie odbył się w dniach od 18 czerwca do 7 lipca 1949 roku, a wyrok wydany w dniu 11 lipca brzmiał: "kara śmierci".

Nadmienia się, że obecnie toczy się proces Adama Humera. W dziesiątym dniu rozprawy przeciw A. Doboszyńskiemu, tj. 1 lipca 1949 roku ówczesny ppłk Adam Humer, lat 32, oficer Wojska Polskiego, wicedyrektor Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zeznawał jako świadek

oskarżenia m.in.:"... śledztwo było prowadzone pod moim bezpośrednim nadzorem, ponadto stale przychodziłem na przesłuchania i sam osobiście Doboszyńskiego przesłuchiwałem..." (wg "Proces Adama Doboszyńskiego" ; Książka i Wiedza; Warszawa, 1949 ; s. 470).

3. W nrze 1 czasopisma "Z Historii Politechniki Gdańskiej" zamieszczono artykuł Andrzeja Januszajtisa "Politechnika Gdańska 1904 - 1939, pewne aspekty historii".

W podtytule "Echa konfliktów" tego artykułu są nieścisłości. O ile faktem jest, że wypadki z lutego 1939 roku (usunięcie Polaków z uczelni) było kulminacją " przypadków wrogości..." wobec Polaków, to również niewątpliwym faktem jest, że te przypadki występowały od początku lat dwudziestych. Były jaskrawym odbiciem aktualnie prowadzonej polityki Niemiec w stosunku do Polski. W latach 30. nazistowski rygor wprowadzony przez gauleitera A. Forstera sprawiał, że stosunki te okresowo były nawet "poprawne".

Autor niniejszego artykułu nie zna motywów, którymi kierował się A.Januszajtis umieszczając przy nazwisku rektora prof. dr. phil. Polhausena słowa: "... tak podobno hitlerowski." Czyżby autorowi ww. artykułu nieznane były publikacje dotyczące wydarzeń z lat trzydziestych na terenie uczelni?

Po zdobyciu władzy przez hitlerowców i rozprawieniu się z niemieckimi partiami opozycyjnymi nie do uwierzenia jest przypuszczenie, aby gauleiter A. Forster tolerował na tak ważnym dla Niemców stanowisku człowieka bez jasno określonego stosunku do nazizmu.

Dotyczyło to przecież Politechniki, która jako jedyna tego rodzaju uczelnia w W.M. Gdańsku odgrywała w życiu kulturalnym i społecznym Wolnego Miasta zbyt poważną rolę, aby to co działo się na jej terenie mogło pozostać nieznane władzom, tj. gauleiterowi i Senatowi W.M. Gdańska. W pracy na tak eksponowanym stanowisku, dla umacniania niemczyzny i ideologii nazizmu, członek NSDAP rektor Polhausen (1934-1941) tolerował i sam uczestniczył w wielu akcjach skierowanych przeciw cudzoziemcom (głównie Polakom). Oprócz na ogół znanych wystąpień (zrywanie tablic korporacyjnych, sprawa kreślarni, getta ławkowe dla Polaków i Żydów itp.) rektor tolerował np. prowadzenie przez niektórych wykładowców zajęć w mundurach partyjnych czy rozpoczynanie wykładów podniesieniem ręki (powitanie hitlerowskie). Wspomnieć też można o tolerowaniu tworzenia na uczelni bojówek partyjnych, zakończonego w czerwcu "wcieleniem" wielu niemieckich studentów do oddziałów Freikorpsu. Dodać też można, że zmobilizowani niemieccy studenci w oddziałach pomocniczych brali np. udział w konwojowaniu uwięzionych w Gdyni we wrześniu 1939 roku swych kolegów- studentów Polaków, których wraz z zaaresztowanymi mieszkańcami miasta pędzono wśród sfanatyzowanych tłumów pieszo do obozu w Nowym Porcie.

Wzmiankować też można, że w trakcie procesu przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Gdańsku (5-29 kwietnia 1948 roku) zakończonym skazaniem gauleitera A. Forstera na karę śmierci (wyrok wykonany w 1950 roku) oskarżony przyznał się, że - ze względu na stosunki polityczne między Polską a W.M. Gdańskiem - wezwał rektora do siebie i zażądał, aby jako członek NSDAP zaniechał tolerowania wystąpień przeciwko studentom polskim (dot. wydarzeń z lutego 1939) (por. M. Podgóreczny; "Albert Forster - gauleiter i oskarżony"; Wyd. Morskie; 1977; str. 152).

W okresie największych osiągnięć III Rzeszy w 1941 roku były rektor Polhausen został mianowany kuratorem okręgu szkolnego Gdańsk Prusy Zachodnie. Na takie stanowiska hitlerowcy powoływali ludzi, do których mieli pełne zaufanie.

4. W ramach inauguracji Roku Jubileuszowego 1994/95 Politechniki Gdańskiej otwarto wystawę, na której rozpowszechniana była broszura pt.:" Politechnika Gdańska; Wczoraj, dziś, jutro". Zamieszczono tam artykuł A. Januszajtisa pt.: "Zarys historii Politechniki Gdańskiej". Wymaga on niewątpliwie ustosunkowania się w szczególności do treści rozdziału pt. " Studenci polscy " (str. 15-16).

Na Politechnice W.M. Gdańska studiowali przedstawiciele wielu narodów. W cytowanej już książce H. Schulera czytamy na str. 590: "... W 1925 roku istniały w Gdańsku następujące niemieckie stowarzyszenia: dwa Landsmannschafty, trzy korporacje (Corps), cztery Burszenschafty, trzy Turnerschafty, dwa towarzystwa śpiewacze, jedno stowarzyszenie Bałtów (baltisches Corps), dwa stowarzyszenia śpiewacze należące do VDSt, jeden oddział Wingolfa, dwa stowarzyszenia katolickie oraz trzy sportowe i kilka innych. Razem było 27 akademickich stowarzyszeń niemieckich należących do HDA (Hochschulring Deutschor Art.), stanowiły one zwarty blok przeciw cudzoziemcom. Z cudzoziemskich stowarzyszeń w 1925 roku istniały: jedno estońskie, trzy ukraińskie, jedno bułgarskie, jedno południowosłowiańskie, dwa żydowskie i jedno Unitas skupiające różnych cudzoziemców, jak: Egipcjanin, Armeńczyk, Chińczyk, Grek, Norweg, Rumun i Węgier oraz pięć polskich; razem 17 (uwaga W.H.: mowa tu o stowarzyszeniach zarejestrowanych w Senacie uczelni). Łącznie były 44 stowarzyszenia na 1548 studiujących. Polskie korporacje używały barw i wstęg noszonych z lewego ramienia do prawego boku; przyjęty kształt czapek - rogatywki..." Ciekawym jest fakt i przyczyny zróżnicowania noszonych na co dzień oznak korporacyjnych (czapki tzw.dekle i wstęgi, tzw. bandy), w stosunku do korporacji niemieckich (dekle okrągłe, bandy z prawego ramienia do lewego boku). Otóż, gdy 1 lipca 1923 roku nastapiła zmiana rektora, istniejących wówczas w Gdańsku 5 korporacji (piątą wówczas była K! Maritimia), mogło wystąpić w barwach noszonych podobnie do Niemców. Niemcy obawiali się, że w wystąpieniach oficjalnych (a także jak do tej pory na terenie uczelni) może dojść do omyłki i pomieszania barw z korporacjami niemieckimi. Wtedy Polacy zmienili swoje okrągłe czapki (dekle) na czapki wzorowane na rogatywkach armii gen. Hallera, i sposób noszenia barw.

Szczegółowe dane o istniejących w Gdańsku 34 stowarzyszeniach niemieckich zawarte są też w pracy zbiorowej "Das Akademische Deutschland; C.A. Weller Verlag; Berlin; l931 tom 2: "Die Deutsche Hochschulten und ihre akademischen Burger" str. 717-723. Nadmienić jednak należy, że do liczby 34 stowarzyszeń włączono także żydowskie oraz Niemców-narodowości polskiej. Np. o Ziomkostwie niemieckich studentów z Polski (Firmitas, Landsmennschaft Deutscher Studieren der Polens) podane są następującę informacje:"... Założono 30.XI. 1922 roku w celu skupienia wszystkich Niemców studiujących w Gdańsku a pochodzących z Polski z zasadniczym celem: utrzymywanie i pielęgnowanie niemczyzny w Polsce, wychowywanie i kształcenie członków jako osobowości i kierowników niemieckiego narodu w Polsce. W sem. letnim 1924 roku Firmitas weszła do założonego w Lipsku Zjednoczenia niemieckich studentów z Polski. Doroczny Zjazd - konferencja odbywała się w Łodzi. W sem. zim. l926/27 Firmitas przyjęła statut o charakterze korporacyjnym,.."

Nadmienia się, że np. w sem. zim. r. ak. 1931/32 (wg "Akademik Polski" Nr 1,1931) "... ogół studentów na Politechnice Gdańskiej dzielił się następująco na poszczególne narodo-

wości: Niemcy - 900, Polacy - 400, Gdańszczanie - 200, obywatele polscy narodowości żydowskiej, ukraińskiej, niemieckiej itp.- 200, inne narodowości - 100. Na ogólną zatem liczbę około 1800 studentów jest 23% narodowości polskiej a około 33% obywateli polskich...'".

A. Januszajtis w swym artykule wymienił szereg organizacji polskich studentów. Oprócz Bratniej Pomocy Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej (organizacji o charakterze samopomocowym) reprezentującej wszystkich studentów Polaków wobec Senatu uczelni i Komisariatu Generalnego Rzeczypospolitej w Gdańsku wymienił nazwy tylko pięciu polskich Kół Naukowych istniejących na określonych wydziałach Politechniki. Niezrozumiały jest fakt, że nie wymieniono choćby nazw ogólnowydziałowych polskich organizacji jakimi były korporacje. Wg "Rocznika Korporacyjnego 1829-1928" (Warszawa, 1928) str. 89: "... w 1927 roku w Gdańsku korporanci stanowili 53% ogółu studentów-Polaków...". Korporacje akademickie były stowarzyszeniami ideowo-politycznymi. Przynależność do korporacji i zawiązane tam więzy przyjaźni przetrwały lata. Kilkuset spośród około 700 żyjących członków polskich korporacji (w tym i gdańskich) należy do Stowarzyszeń Filistrów: Poznańskich Korporacji Akademickich w Poznaniu oraz Polskich Korporacji Akademickich w Warszawie. Po zarejestrowaniu w sądzie prowadzą one działalność wydawniczą. Ostatnio ukazał się "Zeszyt Nr 7". Tam też można znaleźć wiele danych o korporacjach gdańskich.

5. Z okazji Roku Jubileuszowego wydano też "Suplement do Księgi Pamiątkowej z roku 1993 Studentów Polaków Politechniki 1904-1939". W "Słowie wstępnym" stwierdza się, że Komitet Redakcyjny zrezygnował z opracowania historii PG m.in. z powodu, iż "... uważał, że dzieło naukowe profesora Uniwersytetu Gdańskiego Stanisława T. Mikosa pt. "Polacy na politechnice w Gdańsku w latach 1904-1939", (PWN, Warszawa, 1987) wystarczająco obszernie ujmuje wszystkie zagadnienia historyczne tej znanej w świecie uczelni...".

Autor artykułu, wysoko oceniając pracę znawcy tematyki W.M. Gdańska, jakim jest prof. S. Mikos, z całą odpowiedzialnością stwierdza, że znaczna część zawartych w Rozdziale I, na stronach 182-205 (dot. korporacji) informacji zawiera szereg nieprawidłowości, nieścisłości i błędów merytorycznych. Informacje te w znikomej części oparte są bowiem na istniejących dokumentach. Opinię tę mam zaszczyt przekazać jako posiadacz jednego z lepszych w skali kraju zbiorów dokumentów korporacyjnych. Jednocześnie pozwalam sobie przekazać do wiadomości, że dotychczasowe próby zainteresowania zbiorem - czynione od 1987 roku - nie spotkały się z żadną kompetentną odpowiedzią ze strony uczelni.

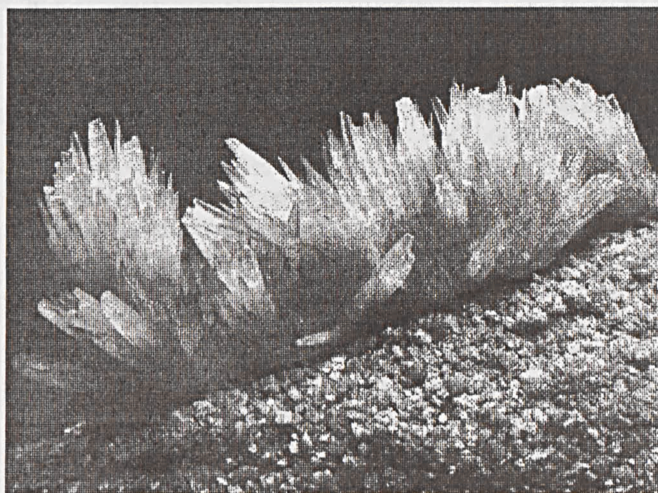
Do większości podanych na ww. stronach informacji można z powodzeniem zastosować zastrzeżenie zawarte na str. 5 książki S. T Mikosa: "... Wspomnienia, a zwłaszcza te, które zostały spisane po kilkudziesięciu latach, mają wiele mankamentów, a głównie ten, że subiektywizm autora zostaje jakby w nie wpleciony. Zacierają się w pamięci fakty, a obrazy z życia z lat młodości wydają się zbyt kolorowe."

Wojciech Heppner
Klub Seniora PG

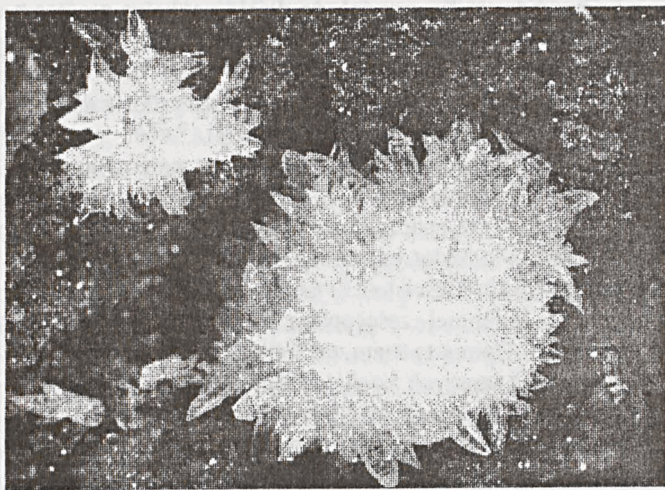
* *słowa wzięte z artykułu wstępnego JM Rektora PG w nrze 2 pisma: Z Historii Politechniki Gdańskiej*

Ze wspomnień emerytowanego nauczyciela akademickiego

Pierwszą w życiu pracę dydaktyczną na uczelni przeżywało się bardzo emocjonalnie i traktowało się ją z wielką powagą, a może i z odrobiną tremy. Najlepiej i najwyraźniej, mimo że upłynęło już tyle lat, pamięta się "swoich" pierwszych studentów. Dobrze, jeśli trafiło się od razu na dobrą katedrę, dobrego kierownika i profesora, a także na dobrych współpracowników. Praca wtedy stawała się prawdziwą przyjemnością i dawała wiele satysfakcji. A jeszcze, gdy grupa studentów, którą się opiekowało i prowadziło z nią zajęcia dydaktyczne - składała się z miłych, dobrych, zdolnych, pracowitych i dobrze wychowanych studentów - satysfakcja była całkowita. Owe pierwsze przeżycia dydaktyczne zwielokrotniają się jeszcze we wspomnieniach, gdy okazało się po latach, że wśród tych "moich" pierwszych studentów znajdują się dzisiejsi rektorzy, dziekani, dyrektorzy wyższych uczelni oraz wielce zasłużeni naukowcy zdobywający laury w kraju i za granicą. Taka była właśnie moja pierwsza katedra, wyjątkiem której był kierownik, kandydat nauk zresztą. To dzięki niemu po dwu latach prawie cały personel dydaktyczny pożegnał ją bez żalu, bogatszej wszakże o nowe, choć nie najprzyjemniejsze doświadczenia życiowe. Przeszłam do innej katedry, która co prawda w ciągu lat kilkakrotnie zmieniała swą nazwę i zakres działania, ale której zostałam wierna aż do przejścia na emeryturę. Gdy zaczynałam tam pracę, nazywała się ona Katedrą Mineralogii i Petrografii, a kierował nią wspaniały i uroczy człowiek - prof. Włodzimierz Wawryk. Oprócz mineralogii i petrografii uczono tam także studentów i krystalografii - nauki związanej ściśle z budową nie tylko minerałów, ale i wielu innych związków chemicznych. Pociągnęła mnie ta krystalografia, gdyż w czasie swoich studiów dobrze ją poznałam na wykładach słynnego w Polsce i na świecie krystalografa prof. Tadeusza Wojno. Podobnie jak taj-



Aragonit

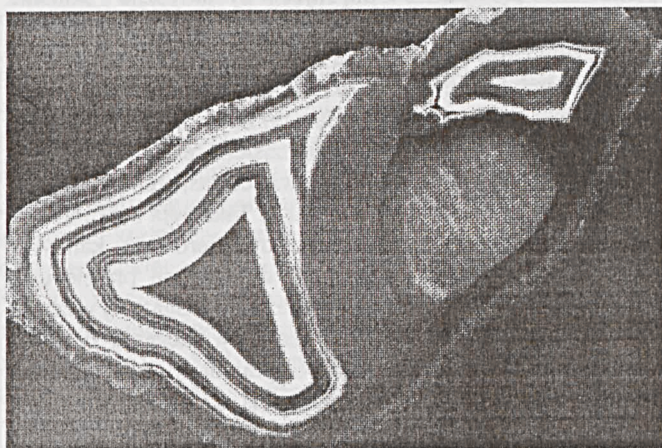


Stroncjanit

ników chemii fizycznej uczyłam się u pani profesor Alicji Dorabialskiej - uczennicy i współpracownicy "samej" Marii Skłodowskiej-Curie. Swoje wykształcenie w nowej Katedrze uzupełniałam słuchając wykładów prowadzonych pięknie i ciekawie przez prof. Wawryka oraz korzystając z wielu wskazówek i rad moich nowych wspaniałych i uczynnych kolegów - jeszcze wtedy nie doktorów i nie docentów, Józefa Domańskiego i Władysława Piotrowicza, zwanego często w kręgach zaprzyjaźnionych osób "Czarnym Piotrusiem". To oni po śmierci prof. Wawryka przejęli kierownictwo Katedry, a później Zakładu. Wtedy też nastąpiła pierwsza zmiana nazwy na Zakład Ceramiki Budowlanej, a następnie na Zakład Mineralnych Materiałów Budowlanych. I oni też już nie żyją od wielu lat. Jednak mineralogia i petrografia nadal pozostały naukami wiodącymi i dominującymi w programie dydaktycznym Zakładu. Mineralogia to nauka o minerałach, a petrografia to nauka o skałach, o ich budowie, strukturze, teksturze i składzie mineralnym., po prostu nauka o skorupie ziemskiej. Nauka bardzo ciekawa i pasjonująco przekazywana studentom przez - jak to już wspomniałam - prof. Włodzimierza Wawryka. Prof. Wawryk był przed wojną profesorem Politechniki Lwowskiej, a po wojnie jednym z pierwszych profesorów Politechniki Gdańskiej, którą wspólnie z innymi profesorami odbudowywał i dźwigał z gruzów i zniszczeń wojennych. Niezwykły był to człowiek, pełen osobistego uroku, wielkiej kultury i wiedzy, urodzony gawędziarz. Jego następcy jawią mi się we wspomnieniach jako przemili ludzie, wspaniali przełożeni, bardzo pracowici, oddani bez reszty nauce i naszej uczelni, ludzie wspaniali, serdeczni przyjaciele, do dziś wspominam ich z niezmienną życzliwością i wzruszeniem. Prawdziwi koledzy i społecznicy poświęcający swój czas, siły i zdrowie przede wszystkim dla innych, nie pamiętając często o sobie. Wykształcili oni (z naszą pomocą, oczywiście) wielu późniejszych fachowców inżynierów, kierowników i dyrektorów zakładów produkcyjnych ceramiki i materiałów budowlanych.

Mimo zmian w nazwie zakładu i profilu pracy, nauka o minerałach i skałach zawsze była obecna w procesie dydaktycznym i trwała przez wiele długich lat, aż do początku lat osiemdziesiątych. Przez nasz zakład przewinęły się setki studentów, nie tylko chemików, ale i tych z Wydziału Budownictwa Lądowego. Z pewnością nie był to dla nich najważniejszy przedmiot, wchodzący zresztą w skład geologii inżynierskiej. Podejrzewam nawet, że były to dla nich nudne godziny zarówno wykładów, jak i ćwiczeń. Jednakże taki program studiów obowiązywał na I roku ich studiów i nie było na to rady. Zdaję sobie sprawę, że z pewnością nie łatwo było im zapamiętywać dziesiątki, a może i setki nazw minerałów i skał, brzmiących bardzo obco i często bardzo egzotycznie, a niekiedy nawet dziwacznie. Nazwy te często pochodzą z greki i łaciny lub od nazwisk uczonych odkrywców. Greki i łaciny już od dawna w Polsce nie uczono, bo i po co? Może tylko gdzieś na lektoratach w Akademiach Medycznych, lub w seminariach duchownych. A szkoda, naprawdę szkoda, bo przecież na tych językach, zwłaszcza na łacinie opiera się wiele języków nowożytnych, a i w języku polskim mamy wiele wyrazów pochodzących od tych "martwych" języków i lubimy jakże często podpierać się wspaniałymi maksymami, powiedzeniami i przysłowiami wypowiadanymi po łacinie. Dla przykładu proszę sobie wyobrazić także "szlachetne" nazwy "kamieni" bo tak nazywały szerokie rzesze studentów nasze eksponaty, jak: ortaklaz, sjenit, chóryt, albit, pegmatyt, muskowit, montmorylonit, czy halit, no i wiele, wiele innych, jeszcze bardziej cudacznych i nie do zapamiętania. Wkuwanie na pamięć tych wszystkich nazw i pojęć było chyba dość trudne dla przeciętnego Polaka, a cóż mówić dopiero o licznych studentach obcokrajowcach, stawiających dopiero pierwsze kroki w języku polskim, urozmaiconym dodatkowo tymi mineralogicznymi wstawkami. A może było im wszystko jedno? I tak trudno i tak trudno, nie zawsze pokrywały się one bowiem z ogólnie przyjetymi nazwami miedzynarodowymi.

A wśród naszych studentów spotkać można było wiele różnych narodowości. Byli studenci z wielu afrykańskich małych państw, które właśnie wywalczyły lub otrzymały wolność i samodzielność, byli studenci z państw arabskich (tych było najwięcej) - Iraku, Iranu, Syrii, Palestyny, dalej z Bangladeszu, Jemenu, Mongolii, Wietnamu i Korei, a także z bliskiej nam Czechosłowacji. Najbardziej malowniczymi byli studenci afrykańscy. Najlepiej zachował mi się w pamięci student z Republiki Mali, który nazywał się ni mniej ni więcej, tylko Moussa Bamba Camara, tak jak murzynek Bambo ze znanego polskiego wierszyka dla dzieci. Ile razy go widziałam, zawsze kojarzył mi się w myśli z owym wierszykiem, nieodmiennie plączącym mi się w pamięci:"Murzynek Bambo w Afryce mieszka, czarną ma skórę ten nasz koleżka, uczy się pilnie ranki i wieczory - czym to się różni od gabra noryt, lub uczy się pilnie przez długie godziny, do jakiej granit należy rodziny". To już są oczywiście wstawki mineralogiczne. Ale żarty na bok. Był to student wyjątkowo mądry i inteligentny, i chyba zdawał sobie sprawę z groteskowości sytuacji, gdyż na samym początku prosił, żebym zwracała się do niego per "Roberto". Jestem pewna, że



Agat



Ametyst

dzisiaj zajmuje w swojej Republice jakieś wielce eksponowane stanowisko. Niektórzy ze studentów, tych obcokrajowców, mieli jak dla nas dość dziwne wieloczłonowe nazwiska, które z kolei nam asystentom sprawiały wiele trudności w ich zapamiętaniu. Bo, na przykład, kto szybko zapamięta nazwisko Afrykańczyka, które brzmiało: Uhunmwangho Osahon lub innego studenta z Mongolii - Bazarsad Chasztogtochijn? Prostsze były nazwiska Koreańczyków - Kim Bo Sik, Le Ba Tho, czy Pham Van Thien. Mieliśmy też sporą liczbę Abduli, Alich, Mohammedów i Ibrahimów pochodzących z państw arabskich. Pośród tego pracowitego zapamiętywania nazwisk i podobnych do siebie twarzy, zdarzały się i weselsze momenty. Pewnego roku, kierownictwo uczelni zażyczyło sobie sprawdzania obecności studentów na wykładach. Ponad 100 studentów na sali wykładowej i jak tu sprawnie, nie tracąc czasu, przeprowadzić tę akcję? Podpisywali się więc studenci na puszczonej w obieg liście obecności. I co się okazywało? Kogóż tam na wykładzie nie było? I Albert Einstein, Maria Curie-Skłodowska, Róża Luksemburg, Nowotko, a nawet Ali Agca, który był świetnie wkomponowany w swoje arabskie środowisko. Rzecz jasna, że na następny wykład już nie przyszli, byli za to inni, nie mniej świetni i znani. Po tym już wiecej list obecności na wykładach nie sprawdzałam, nie było sensu. Stwierdziłam tylko, że naszym studentom nie brakowało pomysłów i poczucia humoru, a może i poczucia rzeczywistości? Byłam po ich stronie.

A zaliczenia ćwiczeń, kolokwia i testy? Dzięki nim Katedra co roku traciła mnóstwo okazów mineralnych i petrograficznych, gdyż studenci, nie radząc sobie z ich rozpoznaniem, po prostu, korzystając z chwili nieuwagi asystenta, zabierali tzw. w ich języku "kamienie" do kieszeni i wynosili z laboratorium. Nie mogliśmy sobie dać rady z tym procederem. Studenci byli lepsi i sprytniejsi. A zdarzało się również, że wśród zabieranych "na pamiątkę" okazów, znajdowały się okazy rzadkie, kolorowe i bardzo atrakcyjne. Ale cóż począć z hobbystami? Dla rekompensaty zdarzało się czasami, że niektórzy studenci przywozili nam ze swoich wypraw bądź wycieczek zagranicznych egzemplarze skał i minerałów, czasami rzadkich i egzotycznych, które wzbogacały nieźle naszą dydaktyczną kolekcję.



Piroluzyt



Psylomelan

A co za przemyślność i różnorodność wśród ściągawek na egzaminie! Były wśród nich i ruloniki zwijające się z obu stron, karteluszki na gumce wyskakujące z rękawa jak diabeł z pudełka, lub podłożone pod rajstopy studentek powyżej kolana karteczki, albo przypięte agrafką do podszewki marynarki. I tak co roku zjawiały się nowe i udoskonalane wciąż pomysły i rozwiązania w zakresie "zakazanych" teoretycznie, a może i praktycznie pomocy naukowych. Już, już niewiele brakowało, abym utworzyła z posiadanego materiału malutkie muzeum osobliwości studenckich. Jednakże w sumie wszystko to było bardzo miłe i pouczające, a nawet pożyteczne, zwłaszcza że łączyło się to mimo wszystko z pewnym wysiłkiem umysłowym. Przecież trzeba było choć trochę poznać materiał przedmiotu, przeczytać coś niecoś na temat, aby móc te ściągi przygotować i napisać; z tego to prostego powodu nie miałam nic przeciwko pisaniu tych pomysłowych ściągawek. Jednym z milszych wspomnień i momentów pracy dydaktycznej, choć nie najłatwiejszej, były prace dyplomowe i dyplomanci, zwani także magistrantami. Traktowaliśmy ich już właściwie jak naszych młodszych kolegów. Lubili oni naszą Katedrę i swoich opiekunów, czy inaczej i bardziej uczenie mówiąc - promotorów. A miał ich każdy z nas, potem już adiunktów, po kilkudziesięciu na swym dydaktycznym koncie. Każdy z nich to temat do osobnego opowiadania. Zdarzało się często, że jeszcze przez szereg lat po dyplomie utrzymywali oni z nami bliskie całkiem kontakty, radząc się w sprawach produkcji swoich zakładów, przysyłając niekiedy próbki do analizy, bądź zapraszając na spotkanie.

Zawsze też z niezmienną przyjemnością i wzruszeniem odwiedzam od czasu do czasu "starą chemię", zaglądam do laboratoriów i pracowni, wdycham z pewną nawet przyjemnością snujące się po korytarzach znane mi z dawna zapachy chemiczne, rozrzedzoną woń amoniaku, a nawet siarkowodoru i niektórych ostrych rozpuszczalników organicznych. Wszystko to żywo porusza pamięć, a w jej zakamarkach odnajduję ..byłych przełożonych i kolegów, którzy już dawno temu bądź rozpierzchli się po świecie, bądź odeszli byli na zawsze. Z nutką żalu i zadumy wspominam nie żyjących już od wielu lat wspaniałych uczonych i profesorów - Wawryka, Rodziewicza, Pompowskiego, Rozmeja, Libusia, obu Ledóchowskich, a także bliską sercu koleżankę - Halinę Będkowską, kolegów i przyjaciół - Józia Domańskiego i Władzia Piotrowicza. Nie sposób wspomnieć wszystkich. Nie ma ich już wśród nas, a miejsca po wielu zajęli młodzi następcy, kontynuując ich myśli i pracę, jak to zresztą nakazuje niezmienne prawo życia.

Jeśli ktokolwiek przeczyta tych kilka wspomnień starego nauczyciela akademickiego, niech wybaczy mi owe smutne końcowe akcenty. Tak to już zwykle bywa, że gdy wracamy myślą w te odległe dla nas czasy, robimy po trosze mały rachunek sumienia ze swojej pracy, z życia może?

Jadwiga Lipińska
Wydział Chemiczny

Rys. 1. Wyjście z uczelni po zdaniu jednego z dziewięciu egzaminów semestru drugiego - czerwiec 1950

"Bezgrzeszne lata"?

Każdy człowiek chętnie chyba wspomina lata swej młodości. Są one dla niego fundamentem wieku dojrzałego, w którym ideały młodzieńcze zderzają się z prozą życia. Jeśli młodość "wylatywała ponad poziomy", proza ta nie musiała być koniecznie czynnikiem destrukcyjnym, ale - przeciwnie - mogła być okazją do twórczego sprzężenia ducha i materii.

Czasy studenckie mają szczególny klimat. Młody człowiek musi coraz częściej dokonywać samodzielnych wyborów, które mogą mieć wpływ na całe jego późniejsze życie. Narzucanie sobie pewnych rygorów i konieczność rezygnacji z wygodnictwa, konsekwencja i upór w działaniu przy równoczesnym dostrzeganiu potrzeby elastyczności, ale też uznawania nieprzekraczalności pewnych granic, wszystko to nabiera na studiach proporcji właściwych dla życia człowieka dorosłego.

Czas Jubileuszu 50-lecia Politechniki Gdańskiej jest okazją, aby spróbować utrwalić słowem pisanym kilka migawek życia studenckiego i pracy na uczelni. Wdzięcznym tematem byłaby zapewne oprawa polityczna tego życia, ale na ten temat napisano już wiele. W takich przypadkach autorzy popadają też często w samouwielbienie. Jako etatowy "niezorganizowany" - jeszcze od czasów szkolnych, chętnie się więc od tych spraw dystansuję.

A więc studia. Podjąłem je w roku 1949, zdając egzaminy wstępne na sali 167 Gmachu Głównego, gdzie - wówczas nie mogłem tego przewidzieć - sam uczyłem i egzaminowałem



Rys. 2. Na gdańskiej Starówce - luty 1951



Rys. 3. W Parku Oliwskim - marzec 1951

Gd-Wrzeszcz, dnia 21/1.1954 r.

Adj.J.SMOLEŃSKI

OGŁOSZENIE.

Za opuszczenie w miesiącu grudniu 53 r. zajęć bez usprawiedliwienia, oraz lekceważenie przepisów o dyscyplinie studiów zostali ukarani niżej wymienieni:

Rok I.

Puczykowski	Ireneusz:	nagana z wpisaniem do akt osobowych oraz zagrożnie skreślenia z listy studentów.

Rok III

Sobocińska	Krystyna:	nagana z wpisaniem do akt osobowych oraz zagrożenie skreślenia z listy studentów.

I Mgr.

Kończak	Zenon:	nagana
Zarzecki	Mieczysław	"
Cywiński	Zbigniew	"
Descnfeld	[illegible]	"
Stankiewicz	Romuald	"
Wilde	Piotr	"
Leszczyński	Jerzy	"
Łagiewski	Wiesław	"
Mielczarek	Zbigniew	"
Orchowski	Jerzy	"
Sak	Marian	"

II Mgr.

Pilewicz	Stefan	nagana
Kraszczykiewicz	Tolimir	nagana z [illegible] wpisaniem do akt osob. oraz zagrożenie skreślenia z listy studentów.-

Przewodniczący Kom.Dyscyplinarn.

Prof.Dr.Inż.[illegible]

O.o.
Stud.Wojsk.r.e.
Opiekunowie lat
a/a W-26

Rys. 4. Ogłoszenie z r. 1954

16 POLITECHNIKA GDAŃSKA

Nazwisko i imię ...

Rok studiów ... V ... Rok szk. 1953/54

Nazwisko wykładającego	Rodzaj zajęcia i nazwa przedmiotu	Zaliczenie – podpis –
Prof. dr inż. M. Bieniek	Statyka budowli	
Prof. dr inż. M. Bieniek	Ćwiczenia ze statyki budowli	
Prof. dr inż. M Bieniek	Teoria sprężystości	
Prof. dr inż. M. Bieniek	ćwiczenia z teorii sprężystości	
Prof. dr. inż. M. Bieniek	Dynamika budowli	
Prof. dr. inż. M. Bieniek	ćwiczenia z dynamiki budowli	

Rys. 5. Podpis M. Bieńka w indeksie PG - r. 1954



Rys. 6. W 40 lat później - M. Bieniek honorowym członkiem Amerykańskiego Stowarzyszenia Inżynierów Budownictwa (ASCE) - r. 1994

później wiele roczników studenckich. Studia były dwustopniowe (który to system zaczyna się nam znów podobać) - inżynierskie (1949-1953) i magisterskie (1953-1955). Nauka była bardzo intensywna, obejmując następujące liczby godzin obligatoryjnych zajęć tygodniowo: sem. I - 43, sem. II - 46, sem. III - 41, sem. IV - 47, sem. V - 40 i sem. VI - 35; kto dziś pamięta, że sobota była normalnym dniem zajęć? Uczelnia tętniła przez sześć dni tygodnia wzmożonym życiem - od 7:15 do 22:00, bo przecież istniała wówczas także Wieczorowa Szkoła Inżynierska. Duże wrażenie sprawiała o zmroku feeria świateł wydobywających się ze wszystkich prawie okien Gmachu Głównego naszej uczelni. Mimo wielu obciążeń dnia codziennego, młodość sprawiała, że uśmiech gościł na twarzach studenckich (rys. 1).

Nasze miasto było wówczas potwornie zniszczone. W niedziele czyniło się wypady na Stare Miasto (rys. 2) lub też kontaktowało z ciągle aktualną przyrodą Parku Oliwskiego (rys. 3); może warto dodać, że zimy były wtedy także ostrzejsze niż dziś.

Wszystkich swoich profesorów wspominam bardzo dobrze - każdy był niepowtarzalną osobowością, ukształtowaną w warunkach wymagającego domu rodzinnego i wysokiego poziomu dawnego szkolnictwa. Niech mi będzie wolno wymienić tylko trzech - którzy w latach późniejszych uzyskali godność doktora honoris causa Politechniki Gdańskiej: Ignacy ADAMCZEWSKI, Witold NOWACKI i Franciszek OTTO.

Nadeszły lata studiów magisterskich. Trzeba było pomyśleć o zarabianiu na życie. Szczęśliwie uzyskałem pracę asystenta naszej uczelni. Sprawiało to jednak, że moja praca kolidowała często z regulaminem studiów magisterskich (rys. 4). Przedstawiona tu lista ukaranych może być dowodem na niekonwencjonalność życia, gdyż spośród obłożonych wówczas karą studentów i magistrów, którzy byli w podobnej sytuacji jak ja, czterech jest dziś tytularnymi profesorami, z poważnym dorobkiem naukowym i organizacyjnym w kierownictwie kilku polskich politechnik i Polskiej Akademii Nauk. Dodam ze skruchą, że zdarzyło mi się w tym czasie przyjść na egzamin ustny, nie widząc wcześniej nigdy osoby egzaminatora (był spoza PG).

Myślę, że powinienem wymienić jeszcze jednego profesora. Jest nim Maciej BIENIEK, który uczył teorii konstrukcji (rys. 5) i mostownictwa. Dwudziestokilkuletni, był wtedy chyba najmłodszym profesorem w Polsce. Łączył w sobie walory wysokiej klasy teoretyka, doświadczonego praktyka (pierwsze polskie mosty z betonu sprężonego - Bydgoszcz) i wyśmienitego organizatora. Los sprawił, że później wyemigrował do USA, gdzie stał się czołowym autorytetem w dziedzinie budownictwa (rys. 6).

Skończyły się studia, powstały nowe obowiązki. W r. 1956 zawarłem związek małżeński - przyszłą żonę poznałem jako studentkę PG. Sam dzień ślubu pozostaje w mojej pamięci także z tego powodu, że w ową sobotę 14 kwietnia 1956 r. "odprawiłem" najpierw 6 godzin zajęć ze studentami (7:15 - 13:00), aby o godz. 16:00 stanąć w Katedrze Oliwskiej przed ołtarzem. Jak widać, młodość kazała wówczas oba te zdarzenia elastycznie połączyć. Zaczęła ta młodość zresztą powoli odchodzić. Cezurą jest tu rok 1964, gdy - tuż przed ukończeniem trzydziestego piątego roku życia - uzyskałem doktorat. Zapisał się on w mojej pamięci m.in. rozwiązaniem na arytmometrze dwóch układów równań algebraicznych z dwudziestoma niewiadomymi. Algorytm Gaussa dla każdego z nich miał wymiary ściany w pokoju (na ścianie zresztą był przymocowany arkusz do wpisywania działań), a jego rozwiązanie trwało dwa tygodnie czystej pracy.

Niskie zarobki tzw. pomocniczego pracownika naukowego (pod tym względem niedobrej tradycji staje się nadal zadość) zmuszał do podejmowania zajęć dodatkowych - najpierw w biurze projektów, a później poprzez realizację zleceń. Pozwalało to zresztą pogłębiać kwalifikacje inżyniera. Tym niemniej, potrzeby finansowe rosły - nastał więc czas profesjonalnych wyjazdów za granicę: University of Baghdad/Irak (1965-1966), a po habilitacji w r. 1968 - University of Mosul/Irak (1970-1973), UNESCO - Ministry of Education, Mogadishu/Somalia (1979-1980), wreszcie - University of Tokyo/Japonia (1987-1988).

To wszystko nie mieści się jednak w konwencji niniejszego wspomnienia "bezgrzesznych lat". Jak dożyję emerytury - napiszę książkę.

Zbigniew Cywiński
Wydział Budownictwa Lądowego

Wspomnienie z pierwszego dnia pracy w Politechnice Gdańskiej

W dniu 1 sierpnia 1956 roku jako świeżo upieczony absolwent naszej Uczelni, rozpoczynałem pracę na Wydziale Budownictwa Wodnego w Katedrze Fundamentowania, kierowanej wówczas przez nieodżałowanej pamięci prof. Stanisława Hüeckla. Nie dowiedziałem się wcześniej, o której mam się zjawić w pracy, więc naiwnie, jak się później okazało, sądziłem, że trzeba być o godzinie 8. rano. W owym czasie mieszkałem w Gdyni, a do Wrzeszcza dojeżdżałem kolejką elektryczną. Wyszedłem odpowiednio wcześnie z domu, ale pech chciał, że kolejka się dość znacznie spóźniła. Ciężko przestraszony, że mogę być wyrzucony z pracy już w pierwszym dniu za spóźnienie, biegłem przez cały Wrzeszcz i potwornie zadyszany dotarłem do drzwi Katedry na czwartym piętrze Gmachu Wydziału około godziny 8^{15}. Oczywiście drzwi były zamknięte. Okazało się, co obecnie dla wielu jest oczywiste, że zaczynanie pracy w Politechnice (i to w okresie urlopowym) o godzinie 8. rano jest grubą przesadą. Wówczas godzina 10. była tą najodpowiedniejszą porą, bo w tym dopiero czasie zjawiał się pierwszy pracownik Katedry.

Po rozpoczęciu pracy herbatką i miłą rozmową z ówczesnym adiunktem i asystentem Katedry rozejrzałem się po otoczeniu. Zajrzałem do sąsiedniej Katedry Budownictwa Morskiego i Portów, której kierownikiem był wówczas prof. Witold Tubielewicz. I tam zobaczyłem miły obrazek, całkowicie mnie uspakajający, że praca w Politechnice nie będzie taka zła, a nawet wręcz przeciwnie, co zresztą się sprawdziło. Mianowicie w jednym z pokoi stała leżanka, a nad nią wisiał napis: “Jeśli masz ochotę do pracy to się połóż, a ci przejdzie”.

Pragnę jednak poinformować młodych asystentów, że na szczęście nie przestrzegałem skrupulatnie tej zasady i chyba dobrze na tym wyszedłem.

Prof. zw. dr hab. inż. Andrzej Tejchman
wieloletni dziekan Wydziału Hydrotechniki

PS (ten tytuł i stopień przed nazwiskiem oraz wymieniona funkcja to tylko komentarz do ostatniego zdania)

Bywały i takie egzaminy...

Egzamin jest zazwyczaj poważnym przeżyciem, które na trwałe wpisuje się do pamięci zdającego, gdzie trwa dziesiątki lat. Niejednokrotnie zapamiętane zostają także różne drobne szczegóły, nie mające istotnego związku z tym wydarzeniem. I tak, mimo upływu ponad 40 lat, nadal pamiętam, w którym sektorze Audytorium Maximum siedziałem podczas pisemnej części egzaminu z termodynamiki. Tutaj chcę opowiedzieć o ciekawszych przeżyciach egzaminacyjnych. Zgodnie z chronologią, najpierw opiszę egzamin z "Elementów maszyn", przedmiotu prowadzonego przez prof. inż. Adolfa Polaka.

Egzaminy odbywały się dwa razy w tygodniu, bodaj we wtorki i w czwartki. O godzinie 9^{00} otwierano drzwi z korytarza do pokoju asystentów, a kandydaci składali na stole swoje indeksy, formując z nich kształtny stos. Dokładnie o 9^{15} otwierały się drzwi z gabinetu profesora i podchodził on do sterty indeksów. Bez względu na jej wysokość - wybierał zawsze pięć książeczek; tak wylosowani przechodzili do sąsiedniej kreślarni, gdzie odbywał się egzamin ustny, trwający nieraz kilka godzin. Starania o wprowadzenie zapisów na listę chętnych do zdawania pozostały bez żadnego skutku. Giełda egzaminacyjna określała, czy wybrał indeksy obłożone czy gołe i w jakiej kolejności. Różnica była łatwo dostrzegalna, bo płócienna okładka naszych indeksów miała barwę brązową.

Na pierwszy termin przyszedłem w momencie, gdy profesor już wybierał indeksy. Następnym razem zjawiłem się o właściwym czasie i przyglądałem się, jak narasta sterta książeczek. U góry leżało kilka indeksów obłożonych w biały papier, bo na poprzednim terminie tak właśnie wyglądała większość wylosowanych. Mój indeks był natomiast goły i jego grzbiet stanowił ciemny pasek, rozdzielający duży zespół białych książeczek. Dzięki temu ja zostałem wylosowany jako pierwszy. Przygotowany byłem solidnie i bez trudności dostałem ocenę "dostateczny", cenioną u nas tak, jak "3+" z innych przedmiotów. Działo się to 9 października 1947 r. W najbliższym czasie losowanie praktycznie znikło - a to dzięki prostej sztuczce.

Kolejny termin wypadał już bardzo krótko przed początkiem semestru, więc chętnych było szczególnie dużo. W pokoju asystentów prof. Polak znalazł natomiast znikomy stosik, złożony z pięciu tylko indeksów. "Ostatnio czterech oblałem, więc teraz boją się. Zobaczcie, ilu ich stoi w korytarzu" powiedział; jeden z chętnych otworzył drzwi, rozglądnął się w prawo

i w lewo: "nie ma nikogo". Tych pięciu właścicieli indeksów przystąpiło do egzaminu. Taki obraz powtarzał się przez kilka następnych terminów, co wzbudziło wielkie zainteresowanie profesora. Aż nagle - ktoś przypiął do drzwi pokoju asystentów... listę zapisów na egzamin. Chętni zapisywali się na taką listę, którą opiekował się student, wpisany jako szósty od góry. W dniu swojego egzaminu przekazywał ją nowemu "szóstemu", który przychodził przecież na giełdę.

Egzamin z przedmiotu wykładanego przez prof. Hubera stanowił dla nas elektryków trudną do pokonania przeszkodę, bo materiał był bardzo trudny i odbiegał od naszych zawodowych zainteresowań. Do egzaminu pisemnego można było przystąpić dopiero po zdaniu kolokwium u ówczesnego asystenta, inż. Jerzego Ruteckiego. Nic więc dziwnego, że zdawanie tej "kolubryny" odkładało się na możliwie późny termin. Razem z grupą kolegów, w której byli m.in. Wojtek Winiarski i Heniek Bitel, postanowiliśmy zdawać na początku kwietnia 1968 r.

Kolokwium dopuszczające Rutecki przeprowadzał w salce wykładowej na pierwszym piętrze budynku przyległego do Laboratorium Wytrzymałości Materiałów. Każdemu dał odmienne zadanie do rozwiązania, ale każdy elektryk dostawał jako temat do obliczenia "ramę" lub "linię łańcuchową". Wynikało to stąd, że profesor nie określił wyraźnie, czy "ramy" obowiązują elektryków. Nad moim zadaniem pracowałem usilnie, ale bez przekonywającego rezultatu. Po upływie czasu Rutecki stwierdził, że nie jest to wynik wystarczający i polecił przyjść nazajutrz, by kolokwium kontynuować. Następnego dnia też nie było dobrze, ale ostatecznie wyżebrałem dopuszczenie do najbliższego terminu egzaminu.

Grupa zdających była tak liczna, że egzamin odbywał się w Audytorium Maximum. Większość zdających stanowili studenci Wydziału Mechanicznego, zaś nas elektryków była tylko garstka, i to rozsadzona w różnych miejscach sali. Wspólne pytania dla wszystkich zdających podyktował inż. Rutecki. Pierwszy temat stanowiła "belka trójprzęsłowa", w drugim należało rozpatrzyć rozrywanie pierścienia kołowego, zaś w trzecim - obliczyć naprężenia w wale wykorbionym. Wał ten, ułożyskowany na obu końcach, miał korbę ustawioną poziomo i na nią działała siła pionowa.

Natychmiast z sali padło pytanie: "A gdzie ten wał jest utwierdzony? Przecież to musi się obrócić!" Na to Rutecki odpowiedział " Niech panowie założą, że się nie obróci. "

Najpierw zabrałem się do belki. Całą stronę papieru zapisałem złożonymi wyrażeniami, ale nie byłem w stanie uzyskać wyniku końcowego. Co do pierścienia - zupełnie nie wiedziałem, jak ten problem ugryźć. Trzecie zadanie było dla mnie dziecinnie łatwe, ale wyraźnie stanowiło pułapkę. Widziałem więc, że egzamin mam oblany.

Czas pisania zbliżał się nieuchronnie do końca. gdy spostrzegłem. że siedzący przede mną mechanik zabrał się do przepisywania swej pracy na czysto : musiał być dobrze przygotowany, skoro rozwiązania zrobił tak szybko. Przyglądałem się mu z zainteresowaniem i stwierdziłem, że przepisuje także odpowiedź na to trzecie zadanie, które uznałem za pułapkę. Skoro jednak on mógł zaryzykować, to tym bardziej mogłem i ja. "Machnąłem" obliczenia błyskawicznie i pracę oddałem asystentowi.

W holu przy Audytorium Maximum zebraliśmy się całą grupą elektryków, by omówić rezultaty tych zadań. Każdemu wyszło coś innego, ja zaś milczałem skromnie. "A jak u ciebie, Jurek?" - "Nic mi nie wyszło" - "A jak z pierścieniem?" - "Nie dałem rady". Tu zdobyłem się na odwagę i zapytałem : "A co wam wyszło z korbą?"

- "Ach ty idioto, przecież to jest pułapka! Tego nie wolno było rozwiązywać, bo to dowodzi ignorancji w dziedzinie mechaniki !" Zgodnie orzekli, że oni mają szansę na ustną część egzaminu u samego prof. Hubera, ja natomiast beznadziejnie oblałem. Trudno było im odmówić racji.

Następnego dnia, smutny i zakłopotany, szedłem na zajęcia. Na ul. Narutowicza, koło bramy głównej, zagadnął mnie jeden z kolegów, którzy wczoraj zdawali razem ze mną. "Wiesz, w Wytrzymałości wisi już lista wyników. Z naszej grupy ty jeden masz dostatecznie, co zwalnia z egzaminu ustnego. Henio Bitel jest wyznaczony na ustny, reszta - oblała." Zaskoczony byłem kompletnie. Szczęśliwie indeks miałem w teczce, więc z miejsca pobiegłem uzyskać wpisanie oceny. Bałem się, że

9 POLITECHNIKA GDAŃSKA 9

L. 215

Nazwisko i imię Sawicki Jerzy

Rok studiów II Rok akademicki 19 46 / 47 Semestr III

Nazwisko wykładającego	Tytuł wykładu (ćwiczeń lub semin.)	Liczba godzin tygodn.	Potwierdzenie zgłoszenia się studenta (ki)	Egzaminy, ćwiczenia, kolokwia i t. p.	Uwagi
prof. inż. A. Polak	Elementy maszyn	3	[illegible]	egz. 9.10.47 dostateczny [illegible]	
— " —	ćwiczenia z elementów maszyn	3			
prof. inż. W. Wiśniowski	Termodynamika techniczna	3	[illegible]	25. VI. 48. egz. [illegible]	Zezw. [illegible] dn. 14.6.48 [illegible]
prof. inż. W. Wiśniowski	ćwiczenia z termodynamiki techn.	1		[illegible]	
prof. dr. M. Huber	Stereostatyka II	2	[illegible]	dnia 7/IV 48 r. dostateczny [illegible]	
— " —	ćwiczenia ze stereostatyki II	2	[illegible] 13/II 47		
— " —	Laboratorium wytrzymat. mater.	2	[illegible]	30/II 47 dobry [illegible]	

praca może być ponownie sprawdzana i ocena zostanie niekorzystnie zmieniona. I tak w moim indeksie pod datą 7 kwietnia 1948 r. znalazł się autograf prof. dra Maksymiliana Tytusa Hubera.

Opowiadanie to ubocznie pokazuje, jak istotne znaczenie ma sposób ujęcia wypowiedzi, udzielanej przez pracownika naukowego. Gdyby Rutecki powiedział "Proszę obliczyć naprężenia, jakie powstaną w tym wale w pierwszej chwili po przyłożeniu siły, zanim korba zmieni swoje położenie" nikt ze zdających nie uznałby tego zadania za pułapkę. A takie rozumienie przyświecało właśnie twórcy tego zadania egzaminacyjnego.

Innego rodzaju, dość obszerne wspomnienia, mam ze zdawania "Termodynamiki technicznej". Przedmiot ten, wykładany przez prof. Wiktora Wiśniowskiego, kończył się egzaminem zarówno pisemnym, jak i ustnym. Termin pisemny organizowany był łącznie dla elektryków i mechaników, a wszyscy dostawali jeden zestaw zadań do obliczenia. Siedziałem w Audytorium Maximum dość daleko, niemal pod galerią, koło bocznego przejścia biegnącego pod ścianą od strony Gmachu Głównego. Dwa rzędy od tablicy były puste, a w następnym siedział mechanik, znany mi z widzenia. Po podaniu tematów po sali krążyli asystenci między nimi "wredny" (Gruszczyński), pilnując, by nie było ściągania. W tej Katedrze obowiązywała zasada, że dwóję dostawał zarówno dawca - jak i odbiorca ściągaczki.

Byłem znakomicie przygotowany i zadania wyliczyłem grubo przed czasem. W chwili, gdy nikogo z pilnujących nie było w pobliżu, wspomniany mechanik odwrócił się do mnie i coś szeptał. Pokazałem gestem, że nie rozumiem. Po pewnym czasie, gdy dyżurujący asystent znów był dość daleko, sytuacja powtórzyła się bez zmiany. Domyśliłem się, że mechanik prosi o ściągaczkę, a że było jeszcze dość wcześnie, przepisałem moje rozwiązania na czysto. Kartki brudnopisu wsadziłem między inną parę palców i wstałem, by odpowiedź wręczyć prowadzącemu egzamin. Przechodząc koło mechanika rozchyliłem palce i brudnopis "niepostrzeżenie" spadł na podłogę koło nóg tego niby-znajomego. Gdyby nie potrzebował ściągi, to powinien głośno powiedzieć, "kolega coś zgubił", a ja równie głośno rzekłbym "dziękuję, wypadł mi brudnopis". Nic takiego nie nastąpiło, a gdy wracałem na moje miejsce - do tego samego przejścia wszedł jeden z pilnujących. Natychmiast podniósł karty i zwrócił się do mnie "A co to takiego? ściągaczka!" Odpowiedziałem spokojnie, że po prostu wypadł mi brudnopis. "No, już my to zobaczymy" - usłyszałem w odpowiedzi.

Po wyjściu z sali czekałem aż do chwili, gdy egzamin został zakończony. Wówczas zapytałem tego niby-znajomego, o co mu właściwie chodziło, gdy zwracał się do mnie niezrozumiałym szeptem. Odpowiedź brzmiała: "Pytałem, jak się wam pisze, kolego". Takie postępowanie ostro zganiłem mówiąc, że naraził mnie na ocenę niedostateczną. Na moje szczęście ustne wyjaśnienie, że "zgubiłem brudnopis" zostało w zasadzie przyjęte. W związku z tym dopuszczono mnie do egzaminu ustnego, przeprowadzanego przez profesora Wiśniowskiego osobiście.

Przypominam sobie zdarzenie, jakie rozegrało się przy okazji części ustnej tego egzaminu. Część pisemną zdawała liczna grupa kolegów z mojego roku, między innymi oprócz mnie Jurek Gumiński oraz Franek Przeździecki. Na ustny byliśmy wyznaczeni w ciągu paru kolejnych dni. Przychodziliśmy więc na "giełdę" dowiedzieć się, jakie pytania są zadawane i co należy odpowiedzieć. Profesor Wiśniowski pytał pojedynczo, w swoim gabinecie, który mieścił się na piętrze w budynku laboratorium maszyn cieplnych. Franek został wezwany do gabinetu, my zaś czekaliśmy w sali laboratoryjnej. W pewnej chwili słyszymy głos profesora: "Asystent Gruszczyński do mnie!". Za moment wezwany asystent podchodzi do nas i pyta, czy widzieliśmy, że Przeździecki istotnie pisał pracę egzaminacyjną. Widzieliśmy i wyraźnie to potwierdziliśmy, jednocześnie dowiadując się o powód tego pytania. Okazało się, że Franek nic nie odpowiedział na zadane pytanie, co nasunęło przypuszczenie, iż pisał za niego "murzyn". Na szczęście przemógł swój stres i zdał ze znakomitym wynikiem.

Była to dla mnie ważna nauczka, by idąc na ustny egzamin z termodynamiki zabrać ze sobą legitymację z aktualną fotografią. Po wpisaniu oceny 5, Wiśniowski czytał pierwszą stronę indeksu aby dowiedzieć się, skąd pochodzi dany student; jednocześnie widział zdjęcie - a w moim indeksie fotografia była z okresu matury, gdy jeszcze nie nosiłem okularów. Wziąłem więc ze sobą legitymację studencką, gdzie zdjęcie odpowiadało mojemu rzeczywistemu wyglądowi. W stosownym momencie pokazałem profesorowi ten dowód, dzięki czemu uniknąłem niemiłego przeżycia, związanego z podejrzeniem o "murzynowanie". Tak to 25 czerwca 1948 r zakończyłem zdawanie egzaminu z "Termodynamiki technicznej".

W dziedzinie przedmiotów o profilu mechanicznym słuchaliśmy też wykładów prof. dra inż. Roberta Szewalskiego z dziedziny turbin parowych. Cieszył się on u nas wielkim poważaniem i dużą sympatią. Bardzo przystojny i zawsze starannie ubrany, mówił wyszukaną polszczyzną, a do studentów odnosił się z dużą grzecznością. Wykładał jasno i przekonująco, a swoje wywody ilustrował szkicami najważniejszych wykonań znanych firm. Wiedzieliśmy też oczywiście, że był głównym twórcą pierwszej polskiej fabryki turbin parowych, która została stworzona w Elblągu. Wytwórnia ta rozpoczęła działalność przez podjęcie produkcji turbiny średniej mocy, zaprojektowanej przez prof. Szewalskiego.

Egzamin z turbin, który odbywał się w gabinecie profesora, zdawałem jesienią 1949 r. Na pierwsze "podejście" przygotowałem się z rozwiązań konstrukcyjnych, mało wagi przykładając do teorii. "Poległem" więc na pierwszym pytaniu teoretycznym. Do poprawki oczywiście dobrze douczyłem się teorii. I tu znów oblałem, bo zdążyłem już zapomnieć wymaganych wiadomości z konstrukcji. Zrobiłem teraz długą przerwę w usiłowaniach zdania tego przedmiotu i przed następną próbą powtórzyłem całość materiału. Poszedłem zdawać po raz trzeci 11 maja 1950 r. Odpowiadałem dość gładko, a pod koniec Szewalski polecił mi narysować przekrój turbiny BBC wielkiej mocy. Pamiętałem taką turbinę, ale średniej mocy i ją właśnie narysowałem. "Do jakiej mocy stosuje się takie rozwiązanie?" - "Do koło 19 MW" - "Czy większe moce są też budowane?" - "Tak, nawet do 28 MW" - "To niech pan to narysuje" - "A może wystarczy pokazać zasadniczą różnicę? "Oczywiście". Uniknąłem więc rysowania fragmentu, którego nie pamiętałem.

Historyjkę tę opowiedziałem prof. Szewalskiemu pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy w kwesturze stałem bezpośrednio za nim w kolejce do okienka wypłat. Uśmiał się szczerze i powiedział, że mimo wszystko nie zmieni oceny, którą mi wpisał do indeksu: mój czyn jest już przedawniony. Wielką, przemiłą niespodziankę zrobił w roku 1973, kiedy przysłał mi list gratulacyjny z okazji powołania mnie na profesora nadzwyczajnego. List ten ma dla mnie tym większą wartość, że jego autor jest pięknym symbolem najlepszych tradycji mojej uczelni.

Jerzy Sawicki
Wydział Elektryczny

Moje cudowne lata...

Na początku był "Bim-Bom"...To właśnie "Bim-Bom" zapoczątkował zabawę w studencki teatr i ustalił zasady, na czym ta zabawa ma polegać. Oczywiście tak jak wszystko, tak i te zasady uległy modyfikacjom i rozwojowi, lecz legenda pozostała. Lata 1955-1956, w których rodziło się i rozwijało hasło: "Coś by trzeba", były trudne, ale tym bardziej mobilizowały do działania. Jak grzyby po deszczu w wielu miastach polskich zaczęły powstawać teatry i teatrzyki studenckie o różnych "specjalnościach" i sposobach ukazywania tego, co w duszy studenckiej grało. A grało niejednokrotnie jakby całą symfonią. To właśnie "Bim-Bom" wykrył w człowieku "koguta" - symbol pychy, nadęcia i zła oraz "kataryniarza" - który na sercu swym, jak na katarynie piękną gra muzykę. Chcieliśmy być właśnie takimi kataryniarzami. W ten właśnie sposób narodziłem się i żyłem w pokoleniu kataryniarzy.

Równolegle z rozwojem teatrów studenckich powstawały bardzo liczne, budowane własnym sumptem kluby studenckie. Prawie każdy dom studencki miał ambicję utworzenia - własnego klubu. W klubach tych bowiem kwitła kultura studencka oparta nie tylko na tak modnych dzisiaj dyskotekach, zwanych ówcześnie "wieczorkami tanecznymi" lub "ubawami". Gdańsk posiadał jeden najważniejszy, skupiający studentów niezależnie od specjalności i uczelni - Klub Studentów Wybrzeża "ŻAK", mieszczący się tam, gdzie obecnie - przy Wałach



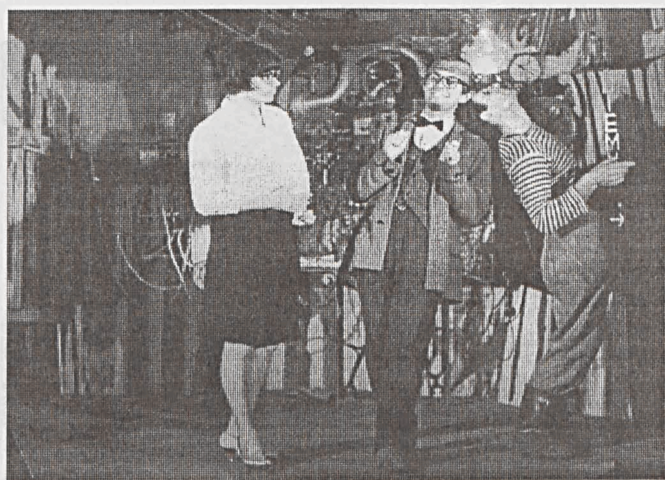
Ale ręka... J. Ciepielowski w próbie jednej z pantomim. Fot. I. Wolny

Jagiellońskich. To tu - jak nazwa kabaretu z tych czasów - było centrum kulturalne Wybrzeża. Było z nazwy i rzeczywiście było. Tutaj działały teatry studenckie owiane legendą, o nazwach takich, że nie chce się wierzyć, aby kiedyś istniały: "Bim-Bom", "Co To", "Cyrk Rodziny Afanasjeff", "Uwaga 61", "To Tu", "Galeria", "Teatr Rozmów", "Kabały", "Ą" - to właśnie nazwy teatrzyków studenckich w kolejności powstawania. Przynajmniej połowa znana nie tylko w Polsce. Oprócz teatrów grały świetne zespoły jazzowe, działał wspaniały, wręcz nobilitujący Dyskusyjny Klub Filmowy i Kawiarnia Poetycka. Jakże trudno było otrzymać kartę wstępu na "Spotkania Jesienne" czy jakąkolwiek imprezę organizowaną w tym budynku...

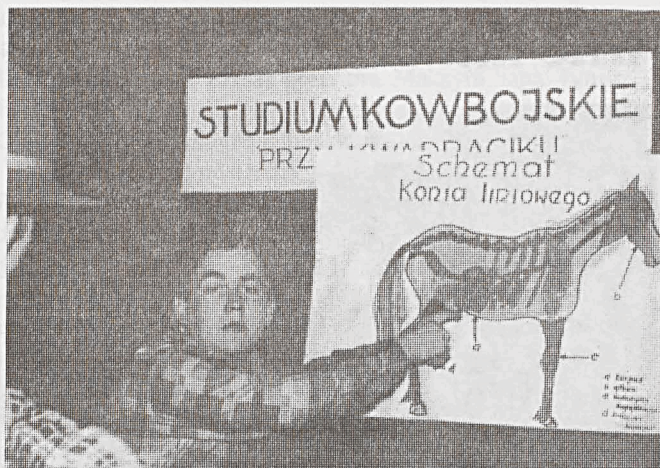
W tych to czasach, kiedy już "Bim-Bom", niestety, kończył swoją działalność ostatnim swoim programem "Coś by trzeba...", którego premiera odbyła się w 1960 r., grupa zapaleńców z Politechniki Gdańskiej postanowiła grać dalej na katarynkach pobimbomowskich. W Klubie Politechniki Gdańskiej "Kwadratowa" w 1961 r. utworzony został kabaret "Kwadracik". Premiery miał trzy, ale były to właściwie występy jednorazowe komentujące aktualne wydarzenia kulturalne Wybrzeża. Przede wszystkim Drugi Ogólnopolski Festiwal Kultury Studenckiej, który odbył się w Gdańsku w 1961 r. W rok później postanowi-



Scenka zbiorowa z programu "Wynalazek". Fot. I. Wolny



Na pierwszym planie: B. Szymańska, J. Rubczak, J. Ciepielowski; na drugim planie tytułowy "Wynalazek". Fot. I. Wolny



J. Jankowski "Zdziebełko" w parodii Studium Wojskowego - "Studium Kowbojskie". Fot. I. Wolny



Mam dwie, ale za to czyste ręce... - Jerzy Ciepielowski. Jedna ze składanek z okazji Ku Czci w Auli PG. Fot. I. Wolny

liśmy założyć prawdziwy kabaret, aby pokazać, co w nas gra, co by trzeba i co potrafimy. A chciało się. Nasz kabaret powoli stawał się drugą ważną po studiowaniu sprawą, a często odwrotnie. Ważniejsze były działania w kierunku stworzenia i pokazania pierwszego programu niż ochrzczenie i nadanie nazwy kabaretowi. W bólach i wahaniach kabaret nazwaliśmy Studencki Teatr Politechniki Gdańskiej "Kabaret". Literka miała być symbolem technokracji kabaretu, jednocześnie tym, co to powoduje stukanie kół wagonowych o szyny ze znanego dowcipu, a właściwie nikt nie wie jak ona (ta końcówka) to robi. Odetchnęliśmy z ulgą - nazwę mieliśmy, a więc pół roboty za nami (jak powiedziałby laik rozebrawszy zegarek). Zostaliśmy zarejestrowani w Komisji Kultury Komitetu Wykonawczego Uczelnianego Parlamentu ZSP Politechniki Gdańskiej, a naszym Ojcem Chrzestnym został ówczesny Przewodniczący Komisji Kultury - Włodzimierz Przybylski z Wydziału Technologii Maszyn. Siedzibą pozostał Klub "Kwadratowa".

W marcu 1963 r. "Kabaret" był gotowy (tak nam się zdawało) do pierwszej premiery, której nadaliśmy tytuł "Podskakujmy panowie" - na cześć piosenki końcowej. W sumie podskakiwaliśmy średnio, chociaż doczekaliśmy się pozytywnych recenzji nie tylko w piśmie "Politechnik", lecz również w "Głosie Wybrzeża". Było sympatycznie, staliśmy się prawie bohaterami środowisk zbliżonych do..., a ja sam chodziłem z dumnie podniesionym czołem, bo wszystkie recenzje wyróżniały aktora-amatora, nazwiska którego z wrodzonej skromności nie wymienię. Klub "Kwadratowa" nie był jednak dobrym miejscem na nasze poczynania. Byliśmy ściśnięci między niewielkim podium, stołówką (w której *nota bene* odbyła się na zestawionych stołach pierwsza premiera teatrzyku "Bim-Bom"), próbami świetnego zespołu jazzowego "Flamingo" i odbywającymi się trzy razy w tygodniu wieczorkami tanecznymi, na których brylowało właśnie "Flamingo" z prowadzącym i grającym na banjo, gitarze i fortepianie niezapomnianym Lulem Woźniakiem. Pokazując w różnych środowiskach i w róż-



Scenka zbiorowa z "opery" - program "Droga". Fot. I. Wolny

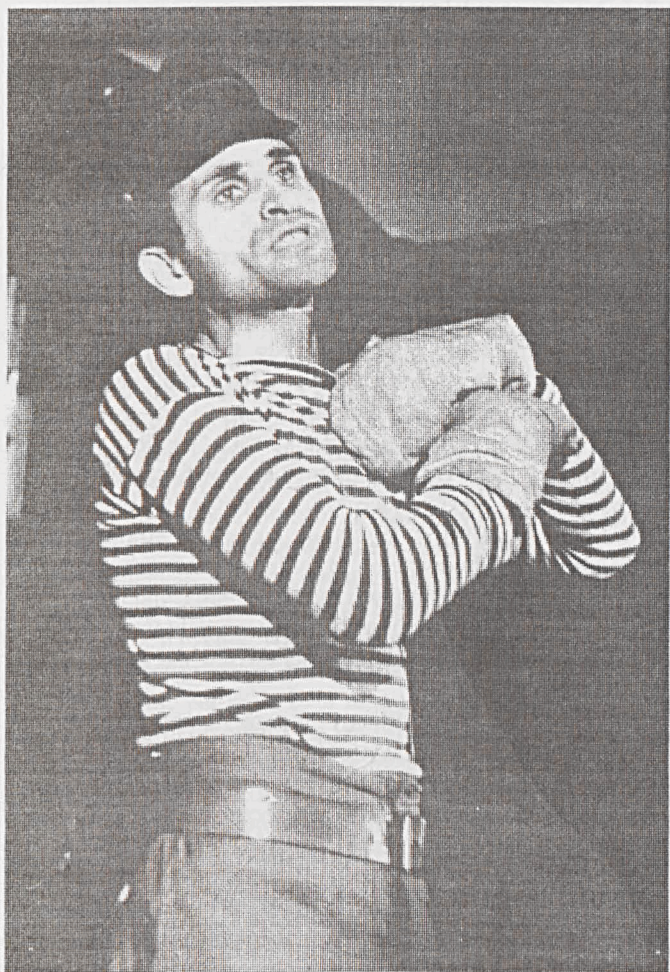


J. Ciepielowski - Ciepiel w pantomimie "Operacja". Fot. I. Wolny

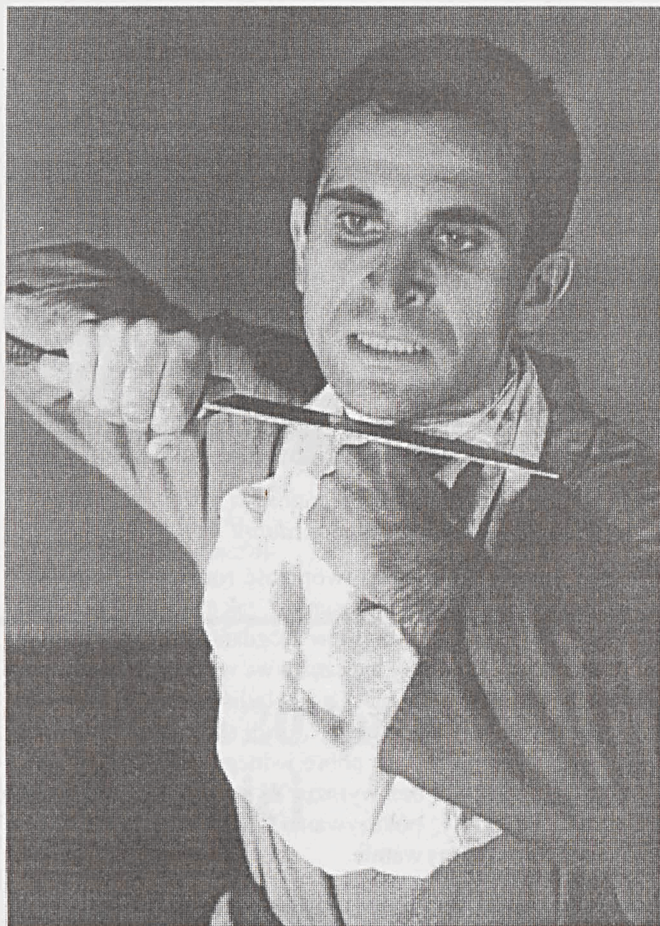


Zderzenie scenografii i osoboobsady dwóch programów. Zdjęcie po spektaklu "Wynalazku", przed próbą "Krzyżówki". Fot. I. Wolny

nych miejscach Gdańska (i nie tylko) nasz pierwszy program, szukaliśmy jednocześnie pewniejszej i stosowniejszej dla naszej działalności siedziby niż "Kwadratowa". Kto szuka, ten znajduje. Właśnie w tym samym tzw. "Bratniaku", w którym mieści się Klub "Kwadratowa", na poddaszu znaleźliśmy salkę naszych marzeń. Było to dość duże pomieszczenie, tzw. "harcówka" (kiedyś miejsce zbiórek harcerzy). Z zapałem cały zespół "Kabaretu" wziął się do pracy i w salce nazwanej z racji



Mój życiorys kolejarski. J. Ciepielowski jako kolejarz w programie "Wynalazek". Fot. I. Wolny



Już nigdy... J. Ciepielowski w programie "Droga" (jeszcze żyje). Fot. I. Wolny

swojego położenia "Szczytową" powstała scenka z zapleczem i garderobą (w pokoiku obok, do którego przebiliśmy wejście) oraz widownia mieszcząca 100 krzeseł dla przyszłych widzów. Salka, scenka i garderoba, chociaż małe, zrobiły się nasze, a po remoncie bardzo przytulne. Razem z tym naszym kochanym "cudem" powstały słowa - później "sztandarowej" piosenki "Kabaretu", które mówiły, że:

"...mamy scenkę swoją własną,
mała scenka, ale jest.
Mamy scenkę małą, ciasną,
lecz czujemy się tu fest..."

Żeby poczuć się tu "fest", zrobiliśmy tu kawał dobrej roboty, pracując w różnych zawodach począwszy od murarzy, malarzy, stolarzy, posadzkarzy, szklarzy, elektryków, krawców i dekoratorów wnętrz, a skończywszy na kombinatorach, bo trzeba było "starać się jakoś" o materiały.

Zespół "mały, ale zgrany" tutaj tworzył i właściwie mieszkał przygotowując nowe programy oparte na własnych tekstach, własnej muzyce (w większości), z własną scenografią, w strojach "zorganizowanych" we własnym zakresie. Tak powstały kolejne programy:

"Droga" (1964),
"Wynalazek" (1965),
"Krzyżówka" (1967),
"Kukły i Maczuga" (1970) - spektakl na podstawie twórczości F.Garcii Lorki.

Oprócz tych oficjalnych premier tworzących całościowe programy, powstawały tzw. "składanki" okolicznościowe stanowiące kompilację monologów, dialogów, blackoutów i piosenek.



Pantomima "Przyjęcie". J. Ciepielowski jako ... mim,magik, żongler - zdolny bestia, oj zdolny. Fot. I Wolny

Cała ta nasza kabaretowa twórczość rodziła się w bólach, "po trudnym przerywanym stosunku", jak stwierdził po jednej z premier nasz reżyser Zbigniew Bogdański. Długie popołudniowe dyskusje kończyły się często we wczesnych godzinach rannych, nie zawsze owocnie. Często byliśmy jedynymi widzami powstających tzw. "numerów", czyli składników spektakli. To, co nas śmieszyło i było dobre jednego dnia, już nazajutrz wydawało się głupie i bez wyrazu. W ten sposób powstawały programy "B" i "C", pokazywane tylko nielicznemu gronu widzów, właściwie prywatnie.



Opera z programu "Droga". Nasze dziewczyny: Bożena Sabinarz i Jagoda Zabulis oraz kierownik "Kabaretu II" (osobiście). Fot. I. Wolny



Scenka zbiorowa "Autobus" z programu "Droga". Fot. I. Wolny

"Kabaret" w swoim blisko 12-letnim okresie działalności tworzył wciąż ten sam "trzon osobowy", co jest chyba fenomenem, bo byliśmy przecież amatorami i studentami (przynajmniej przez kilka pierwszych lat). Pojawiały się wprawdzie z biegiem czasu nowe twarze, nowi studenci i to przede wszystkim naszej Politechniki, lecz pierwotny trzon składu osobowego pozostawał. Wszyscy ci, którzy bawili siebie i innych, będąc wciąż amatorami: autorami, piosenkarzami, muzykami, reżyserami, tekściarzami lub też pomagając w inny sposób w stworzeniu każdego spektaklu kabaretowego, pokończyli studia i dzisiaj są cenionymi inżynierami, dyrektorami, kierownikami, a nawet redaktorami.

Inżynier elektryk Jerzy Jankowski "Zdziebełko" jest dyrektorem Zakładu Energetycznego w Słupsku, inżynier mechanik Janusz Ciombor "Rafuś" jest dyrektorem ZNTK w Gdańsku. Inżynier mechanik Piotr Bławat jest kierownikiem Biura Projektów, świetny pianista, inżynier elektronik Stanisław Połoński jest kierownikiem Międzywydziałowej Pracowni Komputerowej Politechniki Gdańskiej, inżynier elektronik Mścisław Nakonieczny "Misiu" jest kierownikiem Centrum Informatycznego TASK. Inżynier mechanik Jerzy Ciepielowski "Ciepiel" jest inżynierem ds. aparatury Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej. Nie sposób nie wymienić tutaj nazwisk ważnych w działalności "Kabaretu", jak: inżynier elektryk Jan Rubczak, inżynier budownictwa Edward Licznerski, inżynier elektryk Janusz Wujkowski "Cymes", inżynier budownictwa Jacek Bujalski, mgr Stanisław Szczerek.

Dziewczyny występujące w "Kabarecie" wywodziły się przede wszystkim z Wyższej Szkoły Pedagogicznej (późniejszego Uniwersytetu). Były to: mgr historii - red. Bożenna Szymańska, mgr historii Jagoda Zabulis, mgr polonistyki Renata Owczarska, mgr geografii Bożena Sabiniarz, mgr muzyki Irena Bujalska (wymieniam oczywiście nazwiska panieńskie naszych gwiazd).

W roku 1964 wymyśliliśmy imprezę, którą również sami zorganizowaliśmy, mianowicie Ogólnopolski Przegląd Teatrów Uczelni Technicznych. Zaprosiliśmy do udziału w przeglądzie zespoły teatralne o różnym charakterze -wszystkie te, które działały przy uczelniach technicznych całego kraju. Najlepszy zespół był nagradzany Pucharem Przechodnim Rektora Politechniki Gdańskiej. Puchar był przechodni, ponieważ impreza przyjęła charakter coroczny i zorganizowana była czterokrotnie. Puchar trzykrotnie zostawał w Gdańsku i w związku z tym przeszedł na własność STPG "Kabaretu ".

Kolejne programy "Kabaretu" prezentowane na tymże Ogólnopolskim Przeglądzie zdobywały uznanie jurorów, a zespół był nagradzany za "... bardzo wysoki, wyrównany poziom aktorstwa ...". Nasi koledzy piosenkarze Jan Rubczak i Edward Licznerski zdobyli laury w Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich w Krakowie.

Reżyserami większości naszych spektakli byli profesjonalni aktorzy: Zbigniew Bogdański, Józef Lewartowski, Marcin Idziński, dlatego przeszliśmy dobrą szkołę aktorstwa, co pozwalało lepiej przekazać to, co w naszych tekstach, gestach i mimice było ważnego.

Ta nasza młodość radosna, "kataryniarska" bawiła i nas i innych, łypała porozumiewawczym okiem z roześmianej studenckiej gęby, przemycając treści, które mieliśmy do przekazania.

Byliśmy amatorami w całym tego słowa znaczeniu, bo robiliśmy to co lubiliśmy, i nie mówiliśmy o pieniądzach. Występowaliśmy najczęściej w "Szczytowej", jak też w przepełnionych salkach klubowych w DS-ach, na scenkach w Gdańsku i na wyjazdach, zazwyczaj z powodzeniem. Kiedy większość "członków" skończyła studia i wyjechała z Gdańska, skończyła się nasza działalność.

Dzisiaj teatry studenckie nie mają już takiego znaczenia, bo są inne koniunktury, ustroje, inne sposoby "rozrywania się", inni ludzie, inny świat. Kluby "ŻAK" i "Kwadratowa" zmieniły się, straciły na znaczeniu, upadły mniejsze kluby. W sali "Szczytowej" nie ma już scenki - "trenuje" tam obecnie Akademicki Klub Taneczny.

Po moim kochanym teatrzyku, o być może dziwnej nazwie "Kabaret", zostało tylko wspomnienie, może legenda. Ale piękna. Piękna dla nas kabaretowiczów - pokolenia kataryniarzy i może dla tych, którym służyliśmy rozrywką i którzy nas pamiętają. Były to przecież dla nas CUDOWNE LATA.

Jerzy Ciepielowski
Wydział Mechaniczny

Garść wspomnień z pierwszych 20 lat pracy na Politechnice Gdańskiej

ciąg dalszy z nr 4/95

4. "Dziekanowanie" i "prorektorowanie" (lata 1958 do l 967)

4.l. Drugie "dziekanowanie"

Z dniem 1 września objąłem ponownie funkcję dziekana Wydziału Budowy Okrętów, tym razem nie z nominacji, a z wyboru. Jako prodziekana miałem Janusza Stalińskiego, a prodziekanem ds. studiów wieczorowych był prof. Stefan Perycz. Studentów było dużo, bo nabory były olbrzymie. W latach planu sześcioletniego nabory wahały się od 200 do 300 studentów na I rok studiów i w konsekwencji wypuszczaliśmy duże liczby absolwentów, z którymi przemysł nie wiedział, co robić. Przemysł nie rozrastał się do tego stopnia, jak to przewidywał plan sześcioletni. Nadmiar absolwentuw był tak duży, że w czerwcu 1958 roku minister przemysłu wydał zakaz angażowania absolwentów do Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego zareagowało na to zarządzenie obcięciem wielkości naboru do 30 studentów, co było przegięciem w drugim kierunku. Tłumaczyłem wszystkim jak mogłem, że jest to całkowicie niesłuszne i że nie należy obcinać limitu rekrutacyjnego tak drastycznie i zostawić go na poziomie 100 studentów. Na razie była to walka bezskuteczna, ale po dwóch latach przekonano się, że miałem rację. W 1962 roku wystąpił brak absolwentów okrętowców i trzeba było organizować kursy przekwalifikowujące inżynierów mechaników na inżynierów okrętowców. Zapisało się na ten kurs około 30 inżynierów, ale ukończyło go tylko 10. Warunki pracy i życia nie były łatwe i chętnie rozpoczynano te studia, jednak znakomitej większości uczestnikńw nie starczało wytrwałości i cierpliwości, aby wykonać wszystkie ćwiczenia i projekty w terminie i dlatego odpadali jeden po drugim. Nie mogliśmy pobłażać, aby nie obniżać poziomu nauczania. Ci, którzy ukończyli ten kurs, byli dobrymi okrętowcami i dzięki nim powstało wiele dobrych projektów statków.

W 1958 roku dostałem nominację na docenta, ale nie satysfakcjonowało mnie to, ponieważ nie miałem doktoratu. Postanowiłem zrobić pracę doktorską. Egzamin z materializmu dialektycznego i historycznego zdałem już w 1955 roku. W przygotowaniach do tego egzaminu pomagał mi mgr inż. Grzegorz Mizgier, który był kiedyś asystentem w Katedrze Marksizmu, a teraz pracował w mojej Katedrze. Pomocnym był też prof. Kutner, kierownik tej Katedry, który organizował kursy z filozofii marksistowskiej dla grona profesorskiego. Były to nowe pojęcia i obcy system myślenia. Egzamin odbywał się w Instytucie Filozofii Marksistowskiej Uniwersytetu Warszawskiego i zdałem go z oceną b. dobrą.

Do pracy doktorskiej długo szukałem tematu, aż w końcu zdecydowałem się na temat: "Współzależność wielkości budowanych statków i technicznych urządzeń stoczni". Wyłonił się problem, jaką przyjąć wielkość graniczną statku. Prof. Rylke mówił o 100.000 tdw jako o perspektywie bardzo odległej, a ja chciałem przyjąć 500.000 tdw. Mawiał on: "25 *lat minie nim będą budowane tak duże statki*". Należy nadmienić, że największym statkiem zbudowanym w świecie w 1959 roku był S/T "Universe Apollo" 80.000 tdw. W końcu polubownie ustaliłem granicę na 300.000 tdw. Okazało się, że w 5 lat później budowano już statki tej wielkości, a minęły jeszcze dwa lata i budowano statki 500.000 tdw. Praca ta nie była łatwa, lecz była bardzo interesująca. Na opiniodawców mojej pracy Rada Wydziału powołała prof. Rylke, prof. Geislera z PG oraz prof. Tymowskiego i prof. Skarbińskiego, obu z Politechniki Warszawskiej. Moim promotorem był prof. Potyrała. Recenzje wypadły bardzo dobrze. Obrona pracy była publiczna i wzięło w niej udział wiele osób. Podjęcie przeze mnie pracy doktorskiej mimo posiadanego już tytułu docenta i pełnienia funkcji dziekana oraz publiczną obronę uważano za odwagę z mojej strony.

Byłem jedyny z mianowanych docentów mego pokolenia, który na to się zdecydował.

4.2. Prace autorskie

O ile doktorat zdecydowałem się zrobić, o tyle habilitację uważałem, w mojej sytuacji, za marnowanie czasu. Zabrałem się natomiast do pisania podręczników. Brak literatury z zakresu technologii okrętów był silnie odczuwalny. Pierwszą książką, jaką wydałem w 1960 roku, wspólnie z mgr. inż. Lucjanem Palasikiem, było "Trasowanie okrętowe" o objętości 24 arkuszy wydawniczych. Od dobrego i starannego roztrasowania zależy wszystko w budowie kadłuba okrętowego i od tego zaczynają się kłopoty i sukcesy. Palasik przygotowywał część graficzną do publikacji, a ja część opisową i prowadziłem koordynację. Była to żmudna praca, ale bardzo potrzebna. Wydawcą tej i następnych moich książek było Wydawnictwo Morskie. Książkę tę wydano w formie albumowej, gdyż na inny układ nie pozwalały rysunki. Książka spotkała się z wielkim uznaniem i pomimo dość dużego nakładu (1.500 egzemplarzy) szybko się rozeszła w kraju.

Zacząłem pisać podręcznik pt. "Technologia budowy kadłubów okrętowych", który urósł do objętości 700 stron druku. Duża to była praca i wydano ją w 1963 roku. Namówił mnie redaktor wydawnictwa na wydanie trzeciej książki pt.: "Technologia remontu kadłubów okrętowych". Książka ta wyszła w 1965 roku i miała objętość 250 stron. Obie te książki wzajemnie się uzupełniały. Dwa pierwsze podręczniki wyszły przed nadaniem mi tytułu profesora nadzwyczajnego, a trzeci był w ostatecznym stadium opracowania redakcyjnego. Dorobek ten obejmował około 1.500 stron drukowanych na tematy ściśle fachowe. Podręczniki te pomagały w prowadzeniu dydaktyki. Można było spokojnie zlecić prowadzenie wykładów adiunktom, którzy zawsze mogli zweryfikować poprawność treści wykładów z książką. W 1967 roku ponownie wydano podręcznik pt. : "Technologia budowy kadłubów okrętowych".



4.3. Działalność społeczna

W początkowych latach pięćdziesiątych nie zajmowałem się pracą społeczną. Byłem za bardzo zajęty pracą zawodową w stoczniach, a później organizowaniem Katedry i Zakładu Technologii Okrętów. Ale w połowie lat pięćdziesiątych powstała Sekcja Okrętowców przy SIMP oraz miesięcznik "Budownictwo Okrętowe". Radzie Programowej miesięcznika przewodniczył wiceminister przemysłu ciężkiego, inż. Keh. Był on trudnym człowiekiem, bardzo pewnym siebie i nie cierpiącym krytyki. Rok 1956 przyniósł pewną liberalizację stosunków i zaczęły odzywać się głosy krytyki. W Auli Politechniki Gdańskiej zorganizowano spotkanie okrętowców, gdzie zaprezentowano wiele krytycznych uwag pod adresem rządu i konkretnie inż. Keha. Zostało to wszystko opublikowane w "Budownictwie Okrętowym", co spowodowało zaproszenie całego Zarządu do Warszawy, ale nie daliśmy się zastraszyć. Wobec takiego stanu rzeczy, obrażony p. Keh zrezygnował z przewodniczenia Radzie Programowej. Zostało to z ulgą przyjęte przez ogół okrętowców. Namówiono mnie i zgodziłem się przyjąć funkcję przewodniczącego Rady. I tak od 1957 roku do 1992 roku piastowałetm tę funkcję, ustalając w ten sposób swoisty rekord. Czasopismo przetrwało liczne burze i nadal istnieje.

W 1958 roku zostałem wybrany przewodniczącym Sekcji Okrętowców SIMP i urząd ten sprawowałem do 1964 roku. Organizowaliśmy Sesje Naukowe Okrętowców, aby w ten sposób podbudowywać nasz młody przemysł okrętowy i pokazywać światu, co i jak robimy u nas i jakie budujemy statki. Na posiedzeniach Zarządu spotykałem wielu kolegów z przemysłu i dzięki nim otrzymywałem aktualne informacje, szczególnie dotyczące Stoczni Gdańskiej, z którą nie miałem żadnych kontaktów. Jako przewodniczący Sekcji Okrętowców musiałem brać udział w niektórych posiedzeniach Zarządu Głównego SIMP w Warszawie i we wszystkich Walnych Zjazdach SIMP. Ponadto byłem delegatem do Rady Głównej NOT. Dawało to bezpośredni kontakt ze środowiskiem warszawskim. Dzięki temu poznałem wielu działaczy ruchu stowarzyszeniowego z całej Polski. Starałem się z NOT-u stworzyć azyl, gdzie uprawianie polityki było ograniczone do minimum.

Ta moja działalność zyskała sporo uznania między kolegami. Środowisko gdańskie NOT-u było bardzo w tym okresie rozbite. Posiedzenia zarządu trwały po 6 i 8 godzin i nie kończyły się podejmowaniem jakichkolwiek uchwał, albo podjęte uchwały nie były realizowane. Ponieważ wiosną 1963 roku kończyła się kadencja starego zarządu NOT, przyszli do mnie koledzy i poprosili mnie, abym się zgodził być prezesem oddziału wojewódzkiego NOT w Gdańsku. Przyznam się, że nie miałem na to zbytniej ochoty, ale uległem namowom i w czerwcu zostałem wybrany prezesem tego Oddziału, które to stanowisko piastowałem do listopada 1976 roku, czyli przez 13,5 roku. Dom Technika mieścił się na początku tego okresu w przybudówce domu partii, przy kościele Elżbietańskim. Było to pomieszczenie, które zupełnie nie nadawało się do tego celu. W 1970 roku doszło do rozruchów w Gdańsku i rozwścieczony tłum podpalił gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a z nim spłonął również i budynek NOT. Zostaliśmy pozbawieni własnego lokalu i trzeba było szukać nowego lokum gdzieś w pobliżu. Udało się namówić ekonomistów, aby nas przyjęli do swego gmachu przy Długim Targu. Uczynili to bardzo niechętnie, gdyż musieli zlikwidować swój Ośrodek Szkoleniowy,



Prof. J. W. Doerffer podczas oficjalnej wizyty w LKI w Leningradzie

który dla niektórych kolegów ekonomistów był źródłem niezłych dodatkowych dochodów. Przenieśliśmy się więc do nich, a właściwie przeszliśmy do nich, bo nie było co przenosić. Wszystko spłonęło.

4.4. Współpraca z rektorem Kopeckim

W latach 1963/64 miałem "dziekanowanie" i przewodniczenie Sekcji Okrętowców, jak i Oddziałowi Wojewódzkiemu NOT. W 1964 roku pozbyłem się "dziekanowania", lecz zostałem wybrany prorektorem ds. ogólnych. Rektorem był profesor Kopecki, bardzo otwarta głowa, ale czasami trudny w obejściu. Pewnego dnia zadzwonił telefon i rozmówca przedstawił się jako Komitet Wojewódzki. *"Ale kto mówi?"* Odpowiedź była ponownie *"Komitet Wojewódzki"*, to on krzyknął: *"Ze ścianami KW nie będę rozmawiał"* i trzasnął słuchawkę na widełki.

Lubiłem z nim pracować, był to człowiek z dużą wyobraźnią, patrzący daleko w przód. Po dwóch latach skończyła się jego kadencja i odbyły się wybory (1966 rok).

Wiele osób chciało, abym został rektorem, ale ja w żadnym wypadku nie zgadzałem się na to. Po prostu nie czułem się na siłach wobec narastającej presji politycznej ze strony partii. Wiedziałem, że oni koniecznie chcą mieć partyjnego rektora. Jeżeli ja zgodziłbym się kandydować, to zostałbym bez żadnej wątpliwości wybrany, ale wtedy miałbym ciężkie życie, bo partia by mi wszystko utrudniała. Byłem pewien, że przyjdzie jeszcze czas, gdy będę mógł coś jeszcze z siebie dać. Ale teraz - nie. Twierdziłem w swej obronie, że jeszcze jestem za młody (48 lat), aby być rektorem, że od chwili przejścia na wyłączną pracę na Politechnice nieomal stale pełnię odpowiedzialne funkcje (dziekan - 7 lat; prorektor - 2 lata), a więc na 14 lat pracy mam już 9 lat ciągłej pracy na wysokich funkcjach, a chcę jeszcze pracować naukowo, a nie wchodzić w administrację itd. Było dużo rozmów na ten temat, aż moi przyjaciele, widząc mój nieprzejednany upór, zrezygnowali z dalszego namawiania.

4.5. Współpraca z rektorem Boguckim

Partia wystawiła swego kandydata w osobie prof. Władysława Boguckiegu z Wydziału Budownictwa Lądowego. Różne krążyły o nim pogłoski, wszystkie na ogół niepochlebne. W końcu został wybrany rektorem. Ja w dalszym ciągu pełniłem funkcję prorektora. W kilka dni po objęciu przez niego urzędowania miałem z nim ostre spięcie, bo podpisałem w dniu 1 września list, który w jego opinii on sam powinien podpisać. Tłumaczyłem mu, że zawsze dotąd takie listy podpisywałem, a on mi na to, że ja postąpiłem nielojalnie podpisując ten list w chwili, gdy on już objął urzędowanie. Żadne argumenty do niego nie przemawiały - po prostu nie miał żadnego doświadczenia w kierowaniu dużymi zespołami ludzkimi i myślał, że on sam musi wszystko załatwiać osobiście. Przeglądał każde pismo, poprawiał kropki i przecinki, ale merytorycznie nie ogarniał tej problematyki, tylko zatruwał innym życie. Na początku swego urzędowania polecił Działowi Kontroli PG przeprowadzić kontrolę mego Zakładu w nadziei, że mnie na czymś przyłapią i że będzie mógł mnie zdjąć ze stanowiska prorektora. Straszny go jednak spotkał zawód, gdyż kontrola wypadła bardzo dobrze, niczego podejrzanego nie znaleziono, a wręcz przeciwnie, uznano, że zakład prowadzony jest w sposób wzorowy.

Prof. Bogucki był bardzo trudny we współpracy, gdyż na wielu sprawach się nie znał, ale we wszystkiem chciał mieć coś do powiedzenia. Chodził często do Komitetu Uczelnianego PZPR i tam uzgadniał politykę rektoratu. Było to bardzo denerwujące i nieraz dochodziło do sprzeczki między nami.

4.6. Współpraca z Leningradzkim Instytutem Budowy Okrętów (LKI)

Nawiązywanie kontaktów z LKI szło dość opornie. Wiosną 1958 roku wyjechała oficjalna delegacja do Leningradu pod przewodnictwem dyrektora Departamentu Studiów Technicznych naszego Ministerstwa, inż. Szymańskiego. W skład tej delegacji weszli: prof. Balcerski, ówczesny rektor PG, i prof. Rylke, absolwent Akademii Marynarki Wojennej w Kronstadzie, sprzed I wojny światowej. Wszyscy ci panowie mówili świetnie po rosyjsku i ich wizyta zakończyła się podpisaniem umowy o współpracy między LKI a PG. Według tej umowy do końca roku miała wyjechać delegacja PG do Leningradu. W skład tej delegacji mieli wejść: ja, jako dziekan Wydziału Budowy Okrętów, doc. Henryk Więckiewicz, jako dziekan Wydziału Budowy Maszyn i doc. Rutecki - kierownik Katedry Wytrzymałości Materiałów PG. Załatwianie formalności trwało niesłychanie długo i pojechaliśmy dopiero na początku stycznia 1959 roku. Był to mój pierwszy wyjazd na wschód. Muszę przyznać, że jechałem tam z bardzo mieszanymi uczuciami - zbyt wiele słyszałem na ten temat i po prostu ciekawość walczyła z obawą przed niespodziankami.

Podróż była bardzo ciekawa. Pociąg pospieszny posuwał się ze średnią prędkością około 50 km/godz poprzez zupełnie pusty kraj. Do Baranowicz - stacji granicznej sprzed wojny - kraj był jeszcze jakoś zamieszkały, ale dalej była przerażająca pustka. Gdzieniegdzie była kurna chata, a tak łoziny, zarośla bez śladu ludzi. Na mijanych dworcach było trochę ludzi ubogo ubranych, w fufajkach, walonkach, głowy owinięte chustami. Coś bardzo deprymującego.

Na dworcu w Moskwie powitała nas oficjalna delegacja LKI: prof. Paweł Doroszenko, prof. Jakub Korolkin i dyrektor administracyjny LKI, pan Jedliński. Jak weszliśmy do stacji metra przy Placu Czerwonym i zobaczyłem ten przepych, te marmury, rzeźby, pomniki, to powiedziałem im szczerze, że przecież koszty związane ze stworzeniem tych podziemnych pałaców i utrzymaniem ich w czystości muszą być olbrzymie. Byli zaskoczeni moją szczerością i przyznali mi rację.

Pojechaliśmy do Leningradu nocnym ekspresem sypialnym "Krasnaja Strieła" (Czerwona Strzała) 500 km - 10 godzin jazdy. Po śniadaniu pojechaliśmy do uczelni, która znajdowała się w dawnym gmachu administracyjnym Stoczni Admiralicji (Admiraltejskij Zawod). Ciasnota była wręcz nieprawdopodobna. Uczelnia miała ponad 10000 studentów - wszędzie pełno ludzi. Katedry miały po jednym pokoiku, tak że nawet nie każdy

pracownik miał swoje biurko. Sale wykładowe były ciasne i zawsze pełne, nie mogące pomieścić wszystkich studentów. Jedynie gabinet rektora i sekretariat były obszerne. Rektorem był prof. Jewgienij Wasiliewicz Towstych, zasłużony działacz partyjny i obrońca Leningradu. Rektorem był od wojny. Naukowcem to on wielkim nie był, ale mienił się specjalistą w dziedzinie technologii okrętów i dlatego czuł do mnie sympatię.

Rektor zwołał całe grono profesorskie do swego gabinetu i nas przedstawił. Był to zbiór ludzi o bardzo różnym poziomie i wyglądzie. Rozejrzeliśmy się po całym Instytucie. Warunki lokalowe mieli wręcz straszne, prawie żadnych laboratoriów, istniejące były źle wyposażone, w przestarzałe urządzenia. Dopiero na tym tle można było porównać nasze bogactwo lokalowe. Natomiast teoretycznie byli świetnie przygotowani. Ten nadmiar teorii był doskonały w odniesieniu do zagadnień badawczych i projektowych, ale wykształcenie praktyczne ustępowało naszemu, do czego zresztą sami się przyznawali.

Pewnego wieczoru poszliśmy do Michajłowskiego Teatru na piękny balet Chaczaturiana "Spartakus" - główną jednak atrakcją był Chruszczow, który zaprosił na ten występ prezydenta Finlandii, Urho Kekkonena. Siedzieli z żonami w loży carskiej na I balkonie. W Pałacu Zimowym podziwialiśmy piękne zbiory sztuki. Po rewolucji chyba konfiskowali te wspaniałości ze wszystkich dworów i pałaców i zwozili tutaj. Największe wrażenie robiły zbiory w "Złotej Komnacie", dokąd trzeba było mieć specjalną przepustkę. Najciekawsze tam były wykopaliska złotych przedmiotów z kurhanów syberyjskich - co za precyzja pracy i co za poziom sztuki złotniczej!

Wiosną rewizytował nas rektor Towstych z żoną, w towarzystwie prof prof.Aszyka, Kordiumowa i Wanscheita. Pokazaliśmy im nasz Wydział i nasze urządzenia. Uważali, że mamy salony, a myśmy narzekali na okropną ciasnotę.

W Leningradzie byłem wiele razy. Gościnność Rosjan była bardzo duża. Sami wiele nie mieli, warunki mieszkaniowe były okropne, po kilka rodzin w jednym mieszkaniu. Współpraca nasza z LKI rozwijała się dobrze i Ministerstwo zasugerowało przyznanie rektorowi Towstychowi doktoratu honoris causa. Rzeczywiście, stosunki były ożywione, wysyłaliśmy do nich naszych studentów na praktyki i na robienie dyplomów, a nawet sporo młodszych pracowników wysyłaliśmy na robienie doktoratów. W tym okresie było bardzo trudno wysyłać młodych ludzi na Zachód i wysyłanie ich do Leningradu było jedyną możliwością wysłania ich za granicę. Nasi młodzi ludzie jednak nie palili się do tych wyjazdów, bo oznaczało to oderwanie się od rodziny na 1 rok albo i dłużej, bez większej korzyści materialnej. Praktyki studenckie były krótkotrwałe, na ogół czterotygodniowe, i studenci przy tej okazji poznawali Leningrad, a nawet i Krym. Umowa o współpracy przewidywała możliwość robienia dyplomu przez naszych studentów w LKI, co oznaczało praktykę i opracowanie określonego tematu w języku rosyjskim. Na podstawie tej pracy i zdanego egzaminu dyplomowego przed mieszaną komisją egzaminacyjną, absolwenci otrzymywali dyplom rosyjski, a po powrocie do Polski otrzymywali dyplom polski. W efekcie takich układów, otrzymywali oni dwa dyplomy i znajomość języka rosyjskiego, co dla niektórych mogło mieć znaczenie w przyszłości, ponieważ polski przemysł okrętowy budował większość statków dla Związku Radzieckiego. Ciekawe było to, że nasi studenci wykonywali prace dyplomowe po rosyjsku bez żadnych trudności i chyba nie było w Leningradzie naszego studenta, który nie zdołałby zrobić pracy po rosyjsku. Natomiast nikt z Rosjan, będąc na uczelni w Gdańsku, nie zrobił pracy dyplomowej po polsku, mimo że oni wybierali swoich najlepszych studentów, bo mieli olbrzymią liczbę chętnych. Po prostu nasz system kształcenia, w którym zostawialiśmy dużo swobody naszym studentom i wyrabialiśmy w nich inicjatywę i obyczaj szukania i szperania w literaturze, był bardziej samodzielny aniżeli ich zwyczaj ścisłego prowadzenia i kontrolowania studentów przez cały czas studiów.

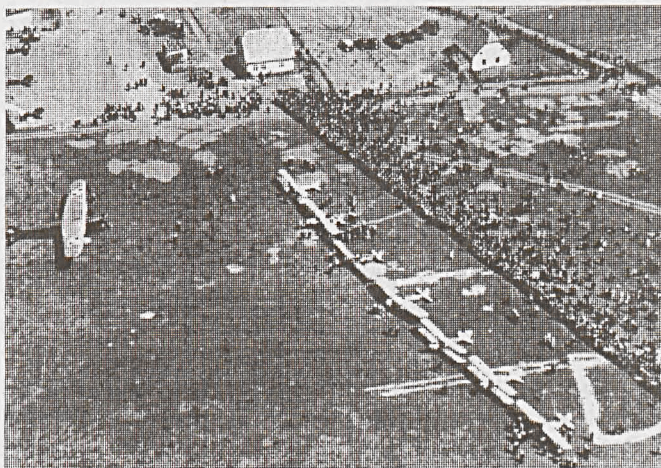
Jerzy Doerffer
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa



Krótka historia Aeroklubu Gdańskiego

Wstęp

Rok 1994 był rokiem jubileuszu 65-lecia Aeroklubu Gdańskiego. Aeroklub powstał dzięki inicjatywie zapaleńców lotnictwa - studentów Politechniki Gdańskiej; początkowo jako Akademicki, a następnie jako Gdański, skupiał nie tylko entuzjastów lotnictwa będących studentami, ale także pracownikami PG. Reaktywowanie Aeroklubu po wojnie nastąpiło analogicznie jak i jego założenie, na Politechnice Gdańskiej. Pierwotnie było to Akademickie Koło Lotnicze przekształcone wkrótce w Aeroklub Gdański. Zrzeszał on wielu pracowników i studentów uczelni, którzy dzięki swojemu zaangażowaniu i poświęceniu rozwijali i kontynuowali zapoczątkowaną na Wybrzeżu działalność lotniczą. Niniejsza krótka historia opracowana została z myślą nie tylko o sympatykach lotnictwa, ale także o tych wszystkich, którym historia lotnictwa cywilnego nie jest obca.



Przedwojenna siedziba AG - lotnisko w Rumi k/Gdyni, pokazy lotnicze w sierpniu 1934 r. Zdjęcie z archiwum R. Konarskiego

I. Pierwsze kroki

Początki polskiego sportu lotniczego na Wybrzeżu sięgają 1925 roku, kiedy to przy Kole Mechaników i Elektryków



Warszawa 13. 09. 1936 r. po otwarciu VI Krajowego Lotniczego Konkursu Turystycznego Seniorów. Od lewej: Antoni Matheus, Witold Fronckowiak, Mikołaj Mielcarski (spoza Bratniaka), Wiktor Leja, Zygmunt Czyżowski i Edmund Jereczek - reprezentanci AG. Zdjęcie z Archiwum Pracowni Historii Politechniki Gdańskiej

Studentów Polaków Politechniki Gdańskiej w Gdańsku powstała sekcja lotniczo-samochodowa, z której wyodrębniona została sekcja lotnicza. Napływające z kraju informacje o powoływaniu aeroklubów akademickich , o tym, że już się lata i szkoli pilotów w odrodzonym państwie, nie pozostały bez echa w środowisku gdańskich studentów.

Pierwsze oficjalne i żywiołowe zebranie entuzjastów latania miało miejsce w Domu Akademickim Bratniej Pomocy w Gdańsku 12 lipca 1929 roku zakończyło się powołaniem Akademickiego Aeroklubu Gdańskiego oraz wybraniem Zarządu. Jednakże niechęć władz miasta Gdańska do wszelkich polskich poczynań i inicjatyw spowodowała, że Aeroklub został zarejestrowany dopiero w marcu 1931 roku jako Eingetragener Verein (Stowarzyszenie). Niczego to jednak nie rozwiązało, ponieważ Senat Gdański nie zezwolił na korzystanie z lotniska we Wrzeszczu, tłumacząc taką decyzję przeciążeniem lotami. Nie było to oczywiście prawdą, ponieważ z lotniska korzystały dwa samoloty komunikacyjne dziennie, natomiast bez ograniczeń korzystała z niego niemiecka organizacja lotnicza Akademische Fliegertruppe Danzig.

Aeroklub wreszcie został przygarnięty przez Morski Dywizjon Lotniczy z Pucka, który obchodzić będzie w 1995 r. swoje 75-lecie. Znaleziono tam miejsce dla dwóch, otrzymanych z Departamentu Lotnictwa Cywilnego Ministerstwa Komunikacji, samolotów HANRIOT-28, oraz stworzono możliwości do wykonywania napraw przez trzech zatrudnionych w Aeroklubie mechaników. Tam też młody konstruktor Michał Offierski przystąpił do budowy szybowca CW-III. Dojazd do Pucka okazał się jednak bardzo kłopotliwy. Nie zniechęciło to bynajmniej zarażonej bakcylem latania braci studenckiej, która postanowiła w tej sytuacji poszukać odpowiedniego terenu na własne lotnisko na polskiej ziemi. Teren taki znaleziono niebawem w Rumi koło Gdyni, gdzie wkrótce powstało nowe lotnisko z prawdziwego zdarzenia, z hangarem i odpowiednim zapleczem socjalno-warsztatowym. Po wykonaniu niezbędnych prac niwelacyjnych Zarząd AAG powiadomił o tym fakcie Departament Lotnictwa Cywilnego i Departament Lotnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, a przysłana komisja uznała wybrany teren za przydatny do budowy lotniska dla potrzeb szkoleniowych i komunikacyjnych.

Za zebrane wśród studentów fundusze zakupiono wkrótce nowy samolot PZL-5, który w sierpniu 1931 roku przyprowadzony został prosto z wytwórni. Od tego momentu rozpoczęło się intensywne szkolenie. W tym czasie powołano także do życia sekcję szybowcową, którą zajęli się Ryszard Dyrgałła, Wiktor Leja (jego syn Ryszard jest obecnie dyrektorem PZL WSK Warszawa-Okęcie) i Zbigniew Siedlecki. Oni też znaleźli odpowiednie tereny na szybowiska w Gostomiu i w Orłowie. Postarano się także o nawiązanie kontaktu z Gimnazjum Polskim w Gdańsku w celu popierania działalności modelarskiej wśród polskiej młodzieży, co także nie cieszyło się sympatią władz Wolnego Miasta.

Aeroklub zaczął otrzymywać dotację z LOPP, co zdecydowanie korzystnie wpłynęło na jego rozwój i polepszyło sytuację finansową.

Szybki rozwój Akademickiego Aeroklubu Gdańskiego zaczął przyciągać amatorów latania spoza szeregów studenckich. W tej sytuacji decyzją Walnego Zgromadzenia z dnia 16 lutego 1933 roku zmieniono nazwę z Akademickiego Aeroklubu Gdańskiego na Aeroklub Gdański. W tymże roku ze składek członkowskich zakupiono od konstruktora samolot MN-4 (SP-AJO), który latał aż do wybuchu wojny. W 1934 roku Michał Offierski na skonstruowanym przez siebie szybowcu ustanowił lotem na czole burzy dwa rekordy Polski w długości przelotu i wysokości lotu. Tym samym uzyskał jako trzeci w kraju kategorię "D".

W 1935 roku załoga AG w składzie: Antoni Matheus (pilot) i Witold Fronckowiak (obserwator) wygrała konkurs na najlepszą załogę samolotową i odebrałą nagrodę - nowy samolot RWD-8.

O popularności sportu lotniczego i szybkości rozwoju Aeroklubu Gdańskiego niech świadczy fakt, że o ile w roku 1931 AG liczył 56 członków, którzy wylatali w sumie 179 godzin, to w roku 1935 członków było już 180, a godzin wylatano 849.

W 1935 roku Aeroklub Gdański posiadał już 14 samolotów, w większości produkcji polskiej. Były to RWD-8 szt. 7, RWD-5 szt. 1, RWD-13 szt. 1, MN-4 szt. 1 oraz HANRIOT-28 szt. 4. Był to też rok, w którym zorganizowano I Zlot do Morza, imprezę powtarzaną odtąd corocznie z okazji Dni Morza. Jeszcze lepszy dla osiągnięć sportowych był rok następny, kiedy to załoga w składzie: pilot Antoni Matheus i obserwator Gerard Ranoszek na samolocie RWD-5 zwyciężyła w zawodach na trasie Berlin - Hamburg i do domu wracała przez Danię i Szwecję, dokonując pierwszego w historii lotnictwa sportowego przelotu nad Bałtykiem. Ponadto w tym roku załogi Aeroklubu Gdańskiego zwyciężyły w 5 zawodach krajowych. Były to: Zlot do Łodzi, II Zlot do Morza, I Zlot Pomorski, II Zlot Gwiaździsty do Białej Podlaskiej i VI Krajowy Lotniczy Konkurs Turystyczny SENIORÓW.

Następne lata były również pełne sukcesów i dlatego lotnisko Aeroklubu Gdańskiego wybrano na miejsce szkolenia kilkunastu podchorążych z Bułgarii. Daleko idącej pomocy w szkoleniu i naprawie sprzętu przez te wszystkie lata udzielał członkom Aeroklubu Morski Dywizjon Lotniczy z Pucka.

W lipcu 1939 roku, na 10-lecie Aeroklubu Gdańskiego, odbył się V Zlot do Morza, w którym wzięła udział skrzydlata flotyla licząca blisko 170 samolotów. Na pokazy lotnicze połączone ze skokami spadochronowymi przybyło 30 tys. osób. Uroczystości 10-lecia uświetnili generałowie Bortnowski i Knoll-Kownacki, a także przedstawiciele Komisariatu RP w Gdańsku. Nie zaplanowaną niespodzianką był prowokacyjny przylot niemieckiego zwiadowczego Dorniera.

W ciągu 10 lat istnienia Aeroklub Gdański znacznie przyczynił się do wzmocnienia obecności narodowości polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku.

Ze względu na coraz gorsze stosunki polsko-niemieckie na lotnisku w Rumi zarządzono stałe dyżury pilotów, zorganizowano także kurs akrobacji i lotów bez widoczności ziemi. Pod koniec lipca samoloty Aeroklubu , oprócz RWD-13, przebazowano do Torunia.

24 sierpnia 1939 r. kadra techniczna Aeroklubu zostaje zmobilizowana i przydzielona rozkazem d-cy Floty do Morskiego Dywizjonu Lotniczego. 31 sierpnia rozkazem d-cy Lądowej Obrony Wybrzeża utworzony zostaje pluton łącznikowy pod dowództwem E. Jereczka. Pluton ma na stanie 3 samoloty, dwa RWD-13 i jeden LUBLIN R-XIIID przydzielony przez Morski Dywizjon Lotniczy z Pucka. Pluton stacjonuje na lotnisku w Rumi, natomiast lotniskiem zapasowym jest majątek Nowe Obłuże. Do wojny pozostają już tylko godziny...

II. Okres wojny

Gdy na Westerplatte i Poczcie Polskiej w Gdańsku toczy się już walka, o 6.00 ma miejsce pierwszy nalot na Rumię. Bomby jednak nie są celne, zamiast na lotnisko, spadają na wieś. Samoloty plutonu zaraz po bombardowaniu zostały przeprowadzone z hangaru portowego do starego hangaru aeroklubowego , a pasażerski LOCKHEED odleciał do centralnej Polski. Kolejny nalot na Gdynię, Oksywie i lotnisko miał miejsce o godz. 14.30, wzięło w nim udział aż 36 samolotów. Najpierw 18 HEINKLI z pułapu 1000 metrów zrzuciło bomby, a później 18 JUNKERSÓW-87 z lotu nurkowego, jednocześnie ostrzeliwując z broni maszynowej. Lotniska broniły 4 karabiny maszynowe typu Maxim. Lotnisko podczas tego nalotu zostało poryte, jednak żadnych obiektów nie uszkodzono. W dniu 4 września wojsko wycofuje czynną obronę przeciwlotniczą lotniska, ale ppor. Jereczek organizuje własną obronę przeciwlotniczą przy pomocy karabinu maszynowego wymontowanego z samolotu LUBLIN R-XIII. O skuteczności tej broni przekonała się wkrótce załoga JUNKERSA-87. Trafiony w silnik samolot lądował przymusowo na podmokłych łąkach za Redą, a lotnicy niemieccy trafili do niewoli.

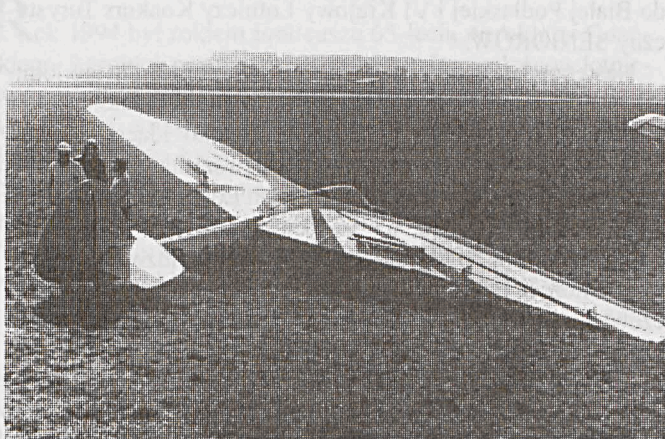
Do 9 września ludzie i samoloty, do ostatniej chwili, oczekują na rozkazy. Tymczasem front dochodzi do lotniska. Wreszcie startują prosto z hangaru, pod ogniem piechoty niemieckiej. Samoloty przelatują na zapasowe lotnisko do Nowego Obłuża na Kępie Oksywskiej, gdzie lądują pod ogniem piechoty, tym razem polskiej, ale na szczęście niecelnym. Samoloty zostały natychmiast zamaskowane, a lądowisko przystosowane do nocnych lotów z zamiarem wykorzystania samolotu LUBLIN do bombardowania okrętów niemieckich na zatoce. Niestety, bomby zostały na Helu.

W dniu 13 września ppor. Jereczek otrzymuje rozkaz odprowadzenia maszyn RWD-13 do Szwecji. LUBLIN ma pozostać dla zrzucenia ostatniego meldunku. Start obu RWD-13 następuje o godz. 12.30, w przerwie ostrzału artyleryjskiego. Dalej jednak maszyny zostają ostrzeliwane, więc chowają się w chmurach. Piloci lecą bez map. Ppor. Jereczek dolatuje, ląduje na placu ćwiczeń wojskowych w Visby i zostaje internowany wraz z obserwatorem por. Nowackim. Przedostaje się do Francji, następnie lata bojowo w Anglii. Drugi RWD-13 zawraca, ląduje znowu w Nowym Obłużu i wkrótce zostaje uszkodzony podczas nalotu. Uszkodzony samolot wkrótce wystawiono jako cel dla niemieckiej artylerii. Lotnicy wymontowują karabin maszynowy i biorą udział w obronie Kępy Oksywskiej.

LUBLINOWI R-XIII przerywa zaraz po starcie silnik, samolot wpada do morza, a mający lecieć do Warszawy pilot, mat Czerwiński, ginie. Wojna przerwała działalność Aeroklubu na 6 długich lat, ale jego członkowie walczyli i ginęli na wszystkich frontach II wojny światowej. Długa jest lista gdańskich pilotów, którzy jak Gerard Ranoszek, Edmund Jereczek czy Bogdan Smidowicz walczyli z najeźdźcą pod wrześniowym niebem, w bitwie o Anglię, w inwazji na kontynent.

III. Czas odbudowy

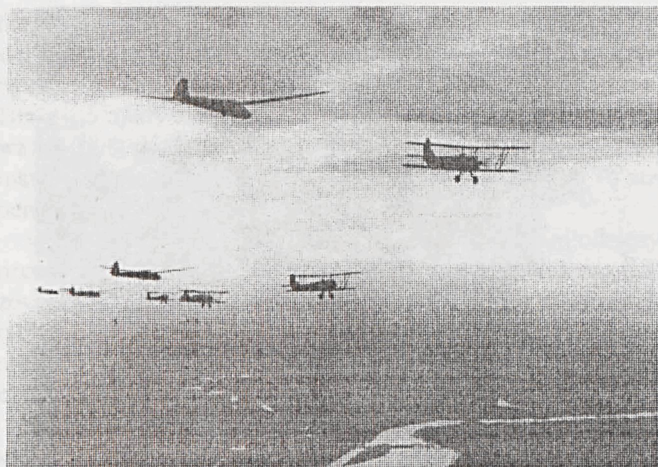
Gdy tylko front przetoczył się przez Gdańsk i ustały działania wojenne, natychmiast pojawili się tam ocaleli członkowie Aeroklubu, zabezpieczając sprzęt i obiekty lotnicze. We wrześniu 1945 roku powstało na Politechnice Gdańskiej Akademickie Koło Lotnicze, a już w dniu 22 marca 1946 roku Aeroklub Gdański został reaktywowany. Pierwsze po wojnie Walne Zgromadzenie zostało zwołane przez Komitet Organizacyjny w składzie: **A. Matheus**, Z. Niwiński, A. Piszcz i **prof. J. Wysocki**. Jednak pierwszy obóz szybowcowy odbył się jeszcze pod patronatem Akademickiego Koła Lotniczego już w styczniu 1946 r. w Trzepowie. Sprzęt w postaci 3 szybowców SG-38 przechowywany był w tutejszej poniemieckiej szkole szybowcowej. Uczestniczyło w nim ponad 40 osób, zaś pierwszym instruktorem był Jerzy Ordęga. Pierwsze dwa samoloty otrzymano z demobilu, były to PO-2, popularnie zwane "Pociakami". Ponieważ obiekty lotniskowe we Wrzeszczu leżały w gruzach, samoloty stacjonowały w Strzebielinie za Wejhero-



Rok 1960 charakteryzował się dużą liczbą lotów na wyższą akrobację szybowcową, do czego służył "bombowiec" - szybowiec polskiej konstrukcji "Jastrząb", o maks. dopuszczalnej prędkości 600 km/godz. Fot. M. Kochanowski



Tradycyjnie gdańska impreza lotnicza - Zlot do Morza - zgromadziła liczne obsady samolotów uczestników 11 Zlotu do Morza. Rok 1967. Na pierwszym planie samolot Jak-18. Fot. M. Kochanowski



Próba przed wielkimi pokazami lotniczymi, sierpień 1960 r. MUCHY - 100 m holu za samolotami CSS-13 nad Gdańskiem. Fot. M. Kochanowski



Widok w locie podstawowego, uniwersalnego samolotu aeroklubowego CSS-13 (licencyjny PO-2, tzw. "Kukuruźnik") nad lotniskiem we Wrzeszczu w lipcu 1963 r. Fot. M. Kochanowski

wem. Biuro Aeroklubu znajdowało się w tym czasie w Sopocie, przy ul. Podgórnej 5.

W dniu 20 maja 1946 r. ukonstytuował się pierwszy zarząd, którego prezesem został Stanisław Zrałek, wiceprezesami kmdr Karol Kupiec i mjr Władysław Matula, a sekretarzem **Antoni Matheus.** Powołano do życia 3 sekcje: samolotową, szybowcową i modelarską. Do końca 1946 roku członkowie sekcji samolotowej już na pięciu samolotach PO-2 wykonali ponad 3 tysiące lotów. W sześciu szkołach szybowcowych: w Malborku, Trzepowie, Strzebielinie, Gostomiu i Orłowie wyszkoliło się ogółem 244 pilotów. Członkowie sekcji modelarskiej uruchomili we Wrzeszczu modelarnię, a prócz tego ośrodki modelarskie w kilku szkołach.

Od roku 1947 zaczęto budować hangary we Wrzeszczu i przeniesiono tam działalność lotniczą Aeroklubu. Zakupiono i wyremontowano w okręgowych Warsztatach Szybowcowych w Gdańsku pewną liczbę amerykańskich samolotów PIPER z demobilu.

7 lipca 1947 r. z okazji Święta Lotnictwa zorganizowano pokazy lotnicze, które obejrzało ok. 50 tysięcy osób. W programie były skoki i akrobacja zespołowa na samolotach JAK-9 oraz efektowne pokazy szybowcowe w wykonaniu Ireny Kempówny (zam. Zabiełło). W 1948 roku lotnisko we Wrzeszczu zostaje podzielone między Aeroklub i Jednostkę Wojskową szturmowych samolotów IL-10. Od tego momentu piloci Aeroklubu mogli trenować już tylko w soboty i niedziele.



Silna grupa spadochroniarzy - rekordzistów - pod wodzą instruktora I. Zapaśnika (pierwszy z lewej); sierpień 1964 r. W tle, z prawej strony, samolot AN2, który jeszcze lata. Fot. M. Kochanowski

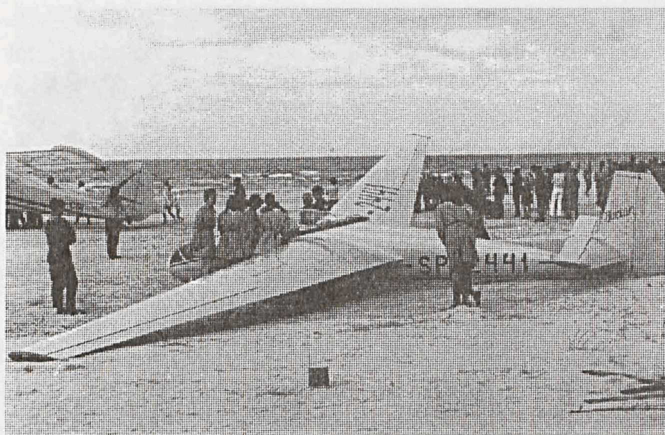
W sierpniu 1948 r. jeden z pilotów ucieka samolotem PIPER na Bornholm. W ramach odpowiedzialności zbiorowej zarząd AG zostaje zawieszony w czynnościach, loty wstrzymane. **A. Matheus** i Z. Niwiński zostali aresztowani. Po przeprowadzonej wiosną 1949 komisyjnej weryfikacji odsunięto od latania 35 najbardziej oddanych pilotów, przede wszystkim tych przedwojennych. Aeroklub stał się częścią Ligi Przyjaciół Żołnierza. W 1951 następna ucieczka pilota (S.Bałut, student Sekcji Lotniczej Wydziału Mechanicznego, konsekwencją było rozwiązanie jej i przeniesienie studentów do Wrocławia), tym razem na samolocie PO-2, spowodowała następne zawieszenie lotów i praktycznie całej działalności Aeroklubu. Bazą Aeroklubu staje się w tym czasie lotnisko w Strzebielinie, gdzie przebazowany został cały sprzęt. Na lotnisku tym w okresie letnim organizowane były przez LPŻ szkoleniowe obozy szybowcowe, a działalność samolotowa zupełnie ustała, gdyż samoloty trzymane były "pod kłódką".

IV. Normalność

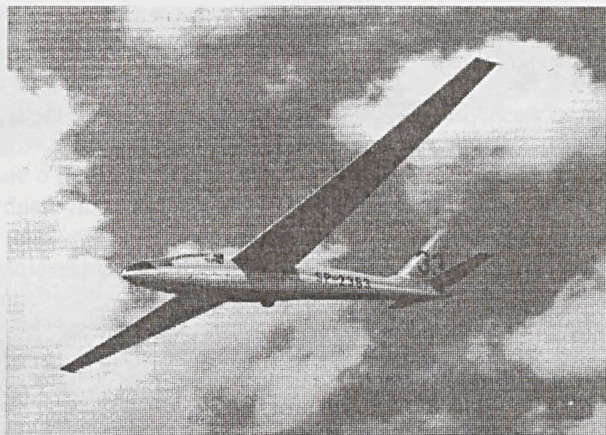
Po zakończeniu mrocznego okresu stalinowskiego można było reaktywować Aeroklub i wznowić od 1 kwietnia 1957 r. w miarę normalną działalność. W tym przełomowym okresie Aeroklubem Gdańskim kierował prezes **Augustyn Jakubowski.** Dzięki jego energicznym działaniom powstaje sekcja spadochronowa, kierowana przez pełnego energii instruktora Ireneusza Zapaśnika, która zorganizowała w tymże roku Spadochronowe Mistrzostwa Polski. Lata następne przyniosły wiele sukcesów tej sekcji: pierwsze starty międzynarodowe, sześć rekordów Polski, I miejsce w akrobacji na Spadochronowych Mistrzostwach Polski w 1959 roku. Ogółem w tabelach rekordów są odnotowane nazwiska 40 skoczków Aeroklubu Gdańskiego.

Do sukcesów AG znacznie przyczyniła się także sekcja szybowcowa. Pierwsze warunkowe przeloty otwarte wykonano już w 1958 r., a w latach następnych posypały się także diamenty (m.in. w 1961 r. pierwszy w historii AG diament za przelot otwarty 500 km na trasie Gdańsk - Zamość, zdobyty przez autora).

Zorganizowano także po raz pierwszy po wojnie samolotowy Zlot do Morza, a w 1969 roku, z okazji swojego 40-lecia, Aeroklub Gdański otrzymał piękny sztandar od społeczeństwa Ziemi Gdańskiej.



Plaża koło Łeby. Sierpień 1966 r. - odwiedziny harcerskiej drużyny lotniczej. Fot. M. Kochanowski



Rewelacja lat sześćdziesiątych - szybowiec nowej generacji FOKA z leżącą pozycją pilota. Fot. M. Kochanowski

Piloci samolotowi zaczęli startować w mistrzostwach Polski. Nowym prezesem Aeroklubu został **prof. Zygmunt Franaszczuk**, który pełnił tę funkcję przez 14 kolejnych lat. W tych latach Aeroklub otrzymuje nowoczesne szybowce MUCHY STANDARD i FOKI, co umożliwiło, w trudnych warunkach termicznych uwarunkowanych morską bryzą, zintensyfikowanie i podniesienie poziomu wyczynu szybowcowego. Dowodem tego jest zakwalifikowanie się pierwszych pilotów do Szybowcowych Mistrzostw Polski (1962 - **M. Kochanowski** i A. Brzuska; 1964-70 - **M. Kochanowski, O. Olszewski, K. Gorzkiewicz**) oraz do kadry szybowcowej (1965 - **K. Gorzkiewicz**, 1968 - **M. Kochanowski**). Warto też odnotować I miejsce w Szybowcowych Mistrzostwach Węgier w 1966 r. (**K. Gorzkiewicz**) oraz w Całorocznych Zawodach Szybowcowych - "Memoriale R.Bitnera" w 1966 r. (**M. Kochanowski**).

W 1962 r. lotnisko AG w Strzebielinie, gdzie w tym okresie usytuowane było Centrum Wyszkolenia Spadochronowego, przekazano do celów rolniczych. Przyszłość lotniska we Wrzeszczu także była przesądzona, gdyż planowana była budowa osiedla mieszkaniowego w latach 70.

Wiele sukcesów zanotowali na swoim koncie modelarze budujacy modele i startujący na zawodach pod kierownictwem Henryka Skrzypczaka we współpracy z **Z. Franaszczukiem** sprawującym poza prezesurą dodatkowo funkcje przewodniczącego sekcji modelarskiej APRL. Największe sukcesy, tytuły mistrzów Polski, odnosili w kategorii modeli swobodnie latających w latach 1957-1968 modelarze - seniorzy oraz juniorzy w kategorii RC. Owocna współpraca z Dalmorem, Puckimi Zakładami Mechanicznymi, Stocznią Gdańską, redakcjami "Dziennika Bałtyckiego" i "Wieczoru Wybrzeża", pozwoliła na coroczną organizację takich imprez, jak Zawody Wodnosamolotów w Rewie czy Zawody Latawcowe, które stały się masową imprezą ogólnopolską pod nazwą Święto Latawca. W latach 1969 i 1970 sekcja ta została sklasyfikowana na I miejscu w Polsce. W latach 70. sekcja zdobyła rekord polski (model szybowca kierowany radiem na zboczu - 1975 r.), tytuł mistrza Polski (1973 r.) oraz sześć tytułów mistrzowskich (3 w 1975 r., 2 w 1977 r. i 1 w 1978 r.).

Na początku 1970 r., jeden z pionierów i założycieli AG oraz były Sekretarz Generalny APRL **Antoni Matheus** i wielu pracowników Aeroklubu przeniosło się do nowo powstałego Lotniczego Zespołu Usług Gospodarczych, świadczącego usługi na rzecz rolnictwa w kraju i za granicą. Spowodowało to przejściowy kryzys kadrowy, zażegnany dopiero po dwóch latach, tj. w 1972 r., kiedy nowym kierownikiem Aeroklubu zostaje znający doskonale aeroklubową specyfikę latania por. Zbigniew Luranc. *Ciąg dalszy w następnym numerze.*

Marek Kochanowski
Wydział Mechaniczny

Spór o systemowe zmiany kształcenia technicznego

Przewlekły stan niedomagań dydaktyki

W połowie lat 80. w trakcie dyskusji nad badaniami porównawczymi młodzieży polskiej i RFN-owskiej, podsumowano różnice mówiąc: młodzież zachodnioniemiecka przypomina swawolnego Dyzia, natomiast polska - zaszczute zwierzę.

Oczywistym jest, że proces nauczania zakłada intelektualną dominację nauczającego nad nauczanym. Ale dlaczego wszelkie konsekwencje wynikające z niedostatków tego procesu ponosi tylko nauczany, który zdany jest wyłącznie na życzliwość lub nieprzychylność nauczającego?

Studiowanie powinno być wielką przygodą intelektualną, a stało się - zwłaszcza na najniższych semestrach - pasmem udręki i stresów, bowiem wymuszane tempo przyswajania innego niż w szkole średniej materiału przekracza możliwości biopsychiczne niedawnych maturzystów. Przeciążenie uruchamia mechanizmy obronne mózgu. To normalna fizjologiczna reakcja ochronna organizmu przed stanem krytycznym; zasięgnijmy opinii lekarzy, psychologów, psychiatrów. Bierna postawa na wykładach i ćwiczeniach oraz bezmyślne odrabianie prac domowych w jaskrawy sposób przeczą naczelnemu celowi studiów, tzn. rozwijaniu efektywności samodzielnego myśle-

nia. Wypracowana na uniwersytetach metoda skutecznego rozwijania samodzielnego myślenia, w ramach zajęć seminaryjnych, na uczelniach technicznych należy do wyjątków. Dlaczego znikły z programów i rozkładów zajęć repetytoria tak ważne zwłaszcza na najniższych semestrach? ("repetitio est mater studiorum"). Tak, repetytoria, a nie konsultacje. To zupełnie co innego !

Ostatnio zmienił się zasadniczo psychiczny profil młodzieży przyjmowanej na uczelnie. Zbyt często dominuje brak zaangażowania i motywacji, bierność i obojętność, a więc rażący brak tych cech charakteru, które niegdyś kształtowała dobra szkoła, prawdziwe harcerstwo, autentyczne ugrupowania krajoznawcze i sportowe.

Beznamiętne audytorium mrozi wykładowcę. Brak reakcji sali obezwładnia aktora na scenie i prelegenta przy tablicy. Ociągający się, defensywny stosunek do tematyki przedmiotu zniechęca prowadzącego ćwiczenia. Ta bezbarwna przeciętność, intelektualna nijakość audytorium niszczy atmosferę pracy umysłowej. Trzeba nie lada odporności i samozaparcia, by niestrudzenie ponawiać próby wykrzesania bladego uśmiechu i enigmatycznego zainteresowania. Mur obojętności to tragedia osobista nauczyciela akademickiego, to zapaść kulturalna studiującej młodzieży.

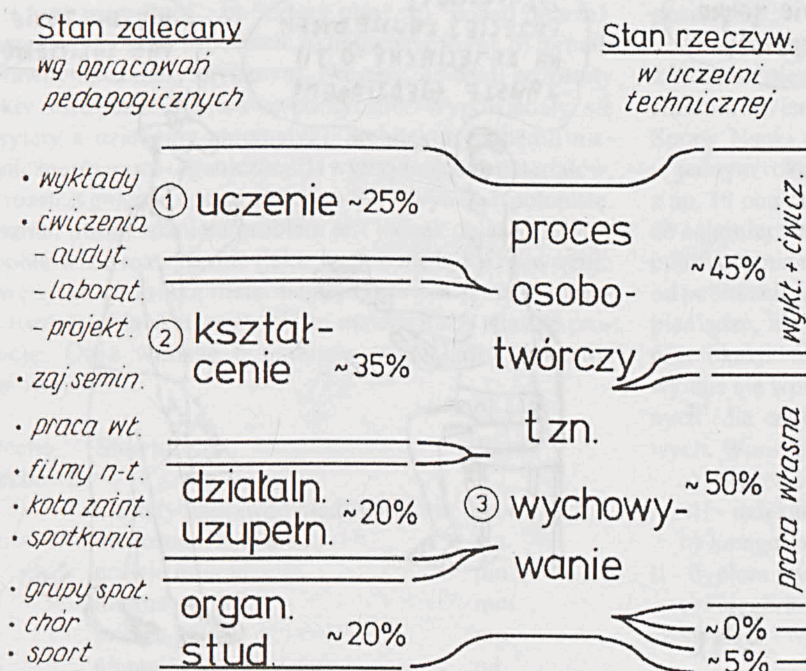
Obecnie na studia zgłaszają się jeszcze roczniki, które przeszły przez pustkę wychowawczą w szkole średniej. Nauczycieli szkół średnich przez lata nakłaniano do takich poczynań z umysłami i charakterami młodzieży, które nie miały nic wspólnego z wychowywaniem. Można nad tym ubolewać, ale to nie zwalnia nauczycieli akademickich od zwiększonego wysiłku ratowania młodego pokolenia. Jest sprawą oczywistą, że dziecko niepełnosprawne wymaga większej troski. Kanony pedagogiki powszechnej są intuicyjnie wyczuwane zwłaszcza przez ludzi, którzy w domu mają dorastającą młodzież, a do takich na ogół należą dojrzali nauczyciele akademiccy.

Pracownicy naukowo dydaktyczni doskonalą się w swoich specjalnościach, a na uczelni w ogóle nie istnieje problem metodologii (metodyki) kształcenia technicznego. Doskonalenie nauczania to nie tylko nowe laboratoria, komputery, Tempus..., ale przede wszystkim wdrażanie sposobów nauczania i wychowywania "o ludzkiej twarzy", kształcenia umysłów i charakterów w sposób adekwatny do potrzeb i możliwości młodzieży. Zdarza się, że na końcu semestru zaledwie 15% słuchaczy zalicza przedmiot. Nie jest to wyłączną winą studentów, lecz jest to przede wszystkim błędem metodycznym wynikającym z niedopasowania metody nauczania do realiów. "Młodzież specjalnej troski" wymaga odmiennych sposobów kształcenia i wychowywania.

Za ten stan rzeczy karana jest wyłącznie młodzież, pomimo że całą winę ponoszą pedagodzy. Struktura studiów typu mgr inż. jest spuścizną po politechnikach przedwojennych; spuścizna ta była w niemiłosierny sposób wynaturzana przez lata katastrofy wychowawczej, która dotknęła wszystkie szczeble kształcenia. "Oblanie" 8596 słuchaczy, w imię rzekomo szczytnego hasła nieobniżania poziomu studiów, stanowi tragiczne nieporozumienie, świadczące o braku przygotowania pedagogicznego nauczyciela i całkowitym bezwładzie całego "ciała pedagogicznego" odnośnego wydziału.

Nauczyciele akademiccy zdają sobie sprawę z trudnej sytuacji gospodarczo-ekonomicznej oraz niewystarczającej dojrzałości maturzystów do samodzielnego studiowania, natomiast na ogół nie zdają sobie sprawy z własnych braków w przygotowaniu metodologicznym do szybko zmieniającego się zapotrzebowania na nowe formy i sposoby nauczania oraz wychowywania współczesnej młodzieży. Alarmujące efekty ich obecnego kształcenia zobowiązują społeczność akademicką do wytężonej zespołowej pracy umysłowej, by sprostać wyzwaniom współczesności. Zaprogramowanie kroczącej reformy kształcenia technicznego powinno nadążać za - konsekwentnie realizowaną już przez MEN - generalną zmianą programu kształcenia ogólnego.

Powyższe rozważania nieuchronnie prowadzą do refleksji ogólnej o żenująco niskiej efektywności dotychczasowego kształcenia oraz o piętrzących się problemach pedagogiki uczelni technicznej, lub bardziej ogólnie - o problemach socjologii oświaty i kształcenia technicznego na wyższym poziomie. Głęboki niż pedagogiczny wynika z zastoju myślowego i operacyjnego w zakresie perspektywicznych, docelowych projektów i kierunków poczynań. Istnieje więc konieczność analizowania całokształtu "filozofii" kształcenia technicznego, a to wymaga dyskusji seminaryjnych i negocjowania kolejnych przybliżeń, śmiało zredagowanych sugestii i propozycji. Dotychczasowe nerwowe przestawianie figur na szachownicy programów prowadzi donikąd. Jedynie zmiana reguł gry jest nieodzownym warunkiem rozwikłania węzła gordyjskiego.



Kraje rozwijające się cechuje ogromna dynamika rozwoju humanizacji kształcenia na wszystkich szczeblach. Notoryczne "odwlekanie" tych spraw przez odnośne gremia wszystkich szczebli stawia nas na pozycji straconej; w perspektywie może grozić to zakwalifikowaniem nas do tzw. trzeciego świata.

Dydaktyka w uczelniach technicznych choruje z racji nauczających. Trzeba więc prowadzić dialog o przyczynach niedoskonałości tego, co należy do obowiązków nauczających.

Wacław Dziewulski
Wydział Mechaniczny

Quo vadis Politechniko?

Czy pytanie jest z gatunku pytań retorycznych? Nie, z całą pewnością nie. Lecz kiedy pytamy o cel, pytamy również o środki, które doprowadzą do tego celu i pozwolą go osiągnąć. I niekoniecznie chodzi tutaj o stronę finansową takiego przedsięwzięcia, jak edukacja na wyższej uczelni. Aby wiedzieć dokąd się zmierza, trzeba najpierw wiedzieć, jak to zrobić. Czy ktoś na naszej uczelni jest w posiadaniu takiej wiedzy?

Co czas jakiś, na posiedzeniach Senatu pada propozycja, aby ponownie podjąć dyskusję o strategii rozwoju uczelni. Zazwyczaj propozycja ta rozumiana jest jako dyskusja o funduszach i o liczbie przyjmowanych na kolejny rok akademicki studentów. To wszystko. Dyskusja o pieniądzach to mniej lub bardziej udane propozycje dzielenia pieniędzy, których albo jeszcze nie ma, albo już nie ma, ale zawsze jest ich za mało. Uczelnia dostaje określoną kwotę pieniędzy i musi ją podzielić pomiędzy wydziały według skomplikowanego algorytmu. Kwota ta nie wzrasta z roku na rok - jak nakazywałaby to logika. Wydziały mogą jednak sprawić, aby w następnym roku dostać nieco więcej funduszy. Na przykład przyjmując znacznie więcej studentów. Dużo więcej studentów - to trochę więcej pieniędzy. W kolejnym więc roku powstaje znów dziura finansowa. To błędne koło trwa od paru lat.

O co w tym wszystkim chodzi? Tak naprawdę, to zwiększa się liczbę studentów z dwóch powodów. Pierwszy - to wyżej wymieniony, a drugi - to tzw. względy społeczne. Funkcjonuje bowiem teoria, jakoby zwiększając liczbę studentów, zmniejsza się liczbę bezrobotnych - przynajmniej w danym roku. Być może, jest to teoria prawdziwa, tylko w takim razie, z punktu widzenia studenta - jaka jest jego motywacja do pokonywania trudnych szczebli egzaminów w drodze do zdobycia dyplomu? Nie ma nic gorszego dla prowadzącego zajęcia, jak student, który nie chce być uczony. Aby uzyskać dyplom wyższej uczelni, trzeba tego chcieć, być przekonanym o jego wartości i o wartości zdobytej wiedzy w przyszłym życiu zawodowym, i mieć świadomość, czemu mają służyć te lata spędzone na uczelni. Traktowanie lat studiów jako mniejszego zła, jako życiowego etapu obliczonego na przeczekanie, jest wątpliwą motywacją do zdobywania wiedzy, do zdawania często bardzo trudnych egzaminów.

No właśnie, egzaminy i zajęcia. Czy można wyobrazić sobie dobrze poropwadzone zajęcia seminaryjne w grupie 30 - 40 osobowej? Pytanie jest retoryczne, ponieważ nie można sobie tego wyobrazić. W tak licznej grupie jedynie paru studentów ma szansę na efektywny udział w zajęciach, reszta jest milczącym tłem. Studenci biernie wysiadują na sali, a prowadzący zdziera resztki strun głosowych - nagłośnione sale na PG można by policzyć na palcach jednej ręki. Mizeria finansowa wydziałów nie pozwala również na sensowne, zgodne z założonym programem nauczania i logiką kształcenia, przeprowadzanie badań, doświadczeń laboratoryjnych ze studentami - brak sprzętu, odczynników, nowoczesnej aparatury i sal.

Po tak przeprowadzonych zajęciach, powszechną praktyką staje się cztero-, pięciokrotne zaliczanie przedmiotu czy zdawanie tego samego egzaminu. Mnożąc to przez liczbę studentów do przeegzaminowania, otrzymujemy astronomiczną cyfrę. Kompletny absurd. Czy przy takiej liczbie studentów możliwe jest indywidualne podejście do studenta, wychwycenie tych najlepszych, najzdolniejszych - niekoniecznie tych najsprytniejszych i najbardziej przebojowych ? Każdy z pracowników dydaktycznych, a również i studentów, mógłby mnożyć takie przykłady obniżania poziomu kształcenia i kolejnych absurdów z tym związanych. Dodać należałoby do tego - jako efekt uboczny zwiększonej liczby studentów- permanentnie psujące się windy, studentów wysiadujących na schodach i korytarzach, pękające w szwach kluby zajmujące się dożywianiem studentów i pracowników.

Więc tak naprawdę, to jakie są korzyści z przyjmowania rokrocznie coraz większej liczby studentów?

W całej populacji Polaków jest 7% osób z wyższym wykształceniem. To bardzo mało. Ale czy to znaczy, że uczelnie



mają automatycznie przekształcić się w fabryki inżynierów i magistrów? Podniesienia poziomu wykształcenia społeczeństwa nie uzyska się poprzez takie proste działania, jak otworzenie bram uczelni dla wszystkich chętnych. Nie zawsze działania najprostsze są zarazem genialne i skuteczne.

Uczelnie mają to do siebie, że trwają. Nie są to sezonowe efemerydy istniejące rok czy dwa. Nasza uczelnia istnieje przecież już 90 lat. Aby uczelnia mogła trwać przez wiele lat, potrzebna jest jakaś polityka długofalowa. Nie "jakaś" w sensie "byle jaka", tylko "jakaś" w sensie konkretnej, jasnej wizji rozwoju. Czy wiadomo np. ile województwa północne będą potrzebowały w najbliższych dziesięciu latach inżynierów poszczególnych specjalności? Jeśli zakładamy, że uczelnia pełni rolę częściowo doraźnej przechowalni potencjalnych bezrobotnych i w związku z tym przyjmowani są wszyscy chętni, lub prawie wszyscy, to rzeczywiście nie jest celowe przeprowadzanie badań potrzeb rynku pracy.

Z badań socjologów europejskich wynika, że w państwach zachodnich wszyscy zatrudnieni w różnych sektorach gospodarki zmieniają zawód średnio 2 - 3 razy w życiu. Wszystko wskazuje na to, że ta prawidłowość staje się również prawidłowością polską. A to znaczy, że mówiąc o przyszłości uczelni, powinno się również wiedzieć, jak kształcić studentów, aby umożliwić im taką mobilność zawodową. Z całą pewnością należy zrezygnować z dotychczasowego modelu kształcenia, opartego na pewnego rodzaju algorytmach. Czy nie powinno się odchodzić od dużej liczby wąskich, specjalistycznych przedmiotów, gdzie student otrzymuje masę informacji z danej dziedziny i uczy się schematów rozwiązywania konkretnych sytuacji problemowych, na rzecz przedmiotów interdyscyplinarnych, kształcących innowacyjność i dających dobre narzędzia do dalszej, samodzielnej edukacji? Wiedza techniczna ma to do siebie, że szybko dezaktualizuje się. Powinniśmy również pamiętać, że zadaniem uczelni - także technicznej - jest oferowanie wykształcenia, a nie nauka konkretnego zawodu. O tym aż nazbyt często zapominają Rady Programowe wydziałów, a przecież Politechnika Gdańska używa również nazwy Uniwersytet Techniczny.

Wszystkie pytania, jakie postawiłam, mają z pewnością swoją odpowiedź. Problem tylko w tym, że odpowiedzi te powinniśmy już znać, zanim zdecydowaliśmy się poddać ogólnopolskiemu trendowi kształcenia coraz większej liczby inżynierów. Ilość nie zawsze musi przejść w jakość.

Ewa Hope
Wydział Zarządzania i Ekonomii

Konstruktywne propozycje

Senat PG poświęca swój cenny czas po części sprawom bardzo ważnym, po części - ważnym, po części zaś - sprawom godnym psa Fafika. Często wszystkie te kategorie spraw ulegają takiemu przemieszaniu, że trudno jest się w tym połapać.

Z dość burzliwego posiedzenia marcowego udało mi się wychwycić dwa problemy wagi państwowej, które nie zakończyły się niestety żadnymi konstruktywnymi wnioskami. Jest w tym trochę i mojej winy, ale jako człowiek wolno myślący zorientowałem się w czym rzecz dopiero po powrocie do domu. I spieszę odrobić błąd.

Ożywioną dyskusję wzbudziła kwestia, jak nazwać słownie ocenę, która liczbowo wyraża się: 4,5. Zgłoszono trzy propozycje: a) "cztery i pół"; b) "cztery plus", c) "ponad dobrze". Sprawę omówiono w aspektach: a) lingwistycznym, b) formalno-prawnym, c) merytorycznym. Niestety, na boku pozostały aspekty estetyczne i moralno-polityczne. Wypowiadały się autorytety z dziedziny automatyki, architektury, chemii nieorganicznej (a może organicznej?) i wytrzymałości materiałów. Dla rozstrzygnięcia sporu postanowiono wynająć polonistę. I słusznie. Moim zdaniem problem jest jednak daleko szerszy, a proponowane rozwiązanie (jakie by ono nie było) rozwiązuje sprawę tylko na krótką metę. Istnieje bowiem pilna konieczność rozszerzenia skali ocen. W tej materii mam właśnie propozycję. Otóż wnoszę o ustanowienie skali piętnastostopniowej:

Ocena liczbowa	Słownie	Skrót
1	niestety naprawdę niedostateczne	nnn
2	niedostateczne, ale ...	n.a
3	prawie mierna	pm
4	mierna mierna	mm
5	mierna pełna	mp
6	niemalże dostateczna	nd
7	dostateczna	dst
8	prawie dobra	pd
9	dobra 75 - procentowa	75
10	dobra naprawdę dobra	dnd
11	omal bardzo dobra dobra	obd
12	zupełnie bardzo dobra	zbd
13	dość celująca	dc
14	celująca	cel
15	bardzo przemądrzały gówniarz	bpg

Zaliczenia otrzymywałyby osoby z ocenami od 2 do 14. Oceny 1 i 15, z powodów wiadomych, dyskwalifikowałyby ich posiadaczy.

Drugą konstruktywną propozycję zgłaszam w związku z brakiem pieniędzy na nagrody za osiągnięcia naukowe. Jak słusznie stwierdził Pan Przewodniczący Senackiej Komisji do Spraw Nauki (w skrócie PPSKSN) nie można dopuścić, by w jednym roku (dużo pieniędzy) nagrody otrzymywały osoby z np. 19 punktami, a w drugim (mało pieniędzy) osoby mające co najmniej 50 punktów. Skłaniałoby to pracowników nauki do publikowania w latach finansowo tłustych i wstrzymywania się od publikacji w latach chudych. A przecież nagrody to nie tylko pieniądze, ale coś, czym należy się wykazywać (ilościowo) przy okazji różnych konkursów, awansów itp. Słuszne więc wydaje się wprowadzenie oprócz nielicznych nagród pieniężnych (dla osób naprawdę potrzebujących) - nagród honorowych. Wnoszę o utworzenie następujących ich rodzajów:

a) kategoria "uścisk dłoni": I stopień - rektora; II - prorektora; III - dziekana; IV - prodziekana,

b) kategoria "dyplom": I - dyplom wypisany maszynowo; II - dyplom wypisany odręcznie,

c) kategoria "wpis do akt": I - wpis do akt drukiem wytłuszczonym; II - wpis zwykły,

d) kategoria "pochwała": I - przed frontem Senatu; II - przed frontem Rady Wydziału; III - dyskretna, na zapleczu,

e) kategoria "klapnięcie": I - uznaniowe, po ramieniu; II - współczujące, w policzek,

f) kategoria "zdjęcie": I - z rektorem, przed wejściem głównym; II - z kwestorem, przed kasą.

Powinna obowiązywać zasada, że pracownik może być wyróżniony nagrodą tylko jednej kategorii w roku kalendarzowym. Wyjątek można uczynić dla osób odchodzących na emeryturę, które mogłyby być honorowane nagrodami dwóch kategorii rocznie.

Co zaś się tyczy polityki rekrutacyjnej naszej uczelni, to proponuję ustanowienie pewnych minimalnych wymogów. Każdy z wydziałów ustalałby swoje np. w zależności od liczby kandydatów. Ale za minimum minimorum należałoby uznać po prostu tętno. I postuluję, aby przestrzegać tego wymogu z całą stanowczością. Rezygnacja z niego mogłaby przecież obniżyć wysoką rangę naszej uczelni. W końcu nawet u Gogola martwe to były tylko dusze.

Piotr Dominiak
Wydział Zarządzania i Ekonomii

Pomiędzy tradycją a postępem w programach nauczania

W ostatnich latach wydziały Politechniki Gdańskiej przeszły falę zmian programowych. Zapewne różne wydziały i katedry przechodziły przez modernizację programów w rozmaity sposób, w zależności od aktualnej specyfiki określonego środowiska, wydziału czy też katedry.

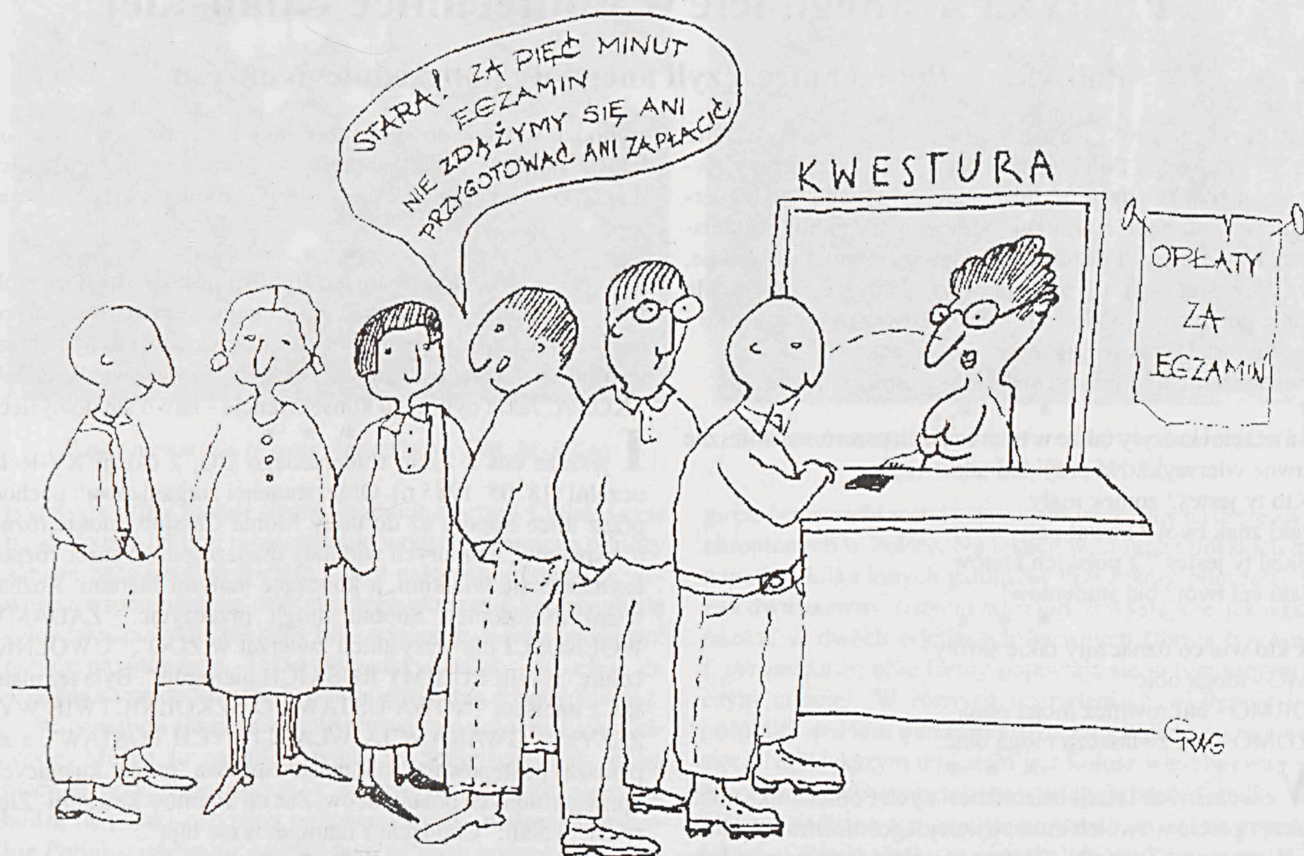
Moje spostrzeżenia i refleksje będą oparte na tych elementach, które wystąpiły na Wydziale Mechanicznym. Być może będzie w tych refleksjach i element ogólny.

Element tradycji w profilu nauczania szkoły wyższej jest ściśle związany z historią rozwoju zespołu, katedry. Najczęściej z osobą kierownika tego zespołu. Elementy unowocześniania lub, ogólniej, zmian w nauczaniu są wywoływane na ogół czynnikami zewnętrznymi, które mogą mieć wieloraki charakter. Wydaje się, iż tam, gdzie rozwój zespołów naukowych dotyka uniwersalnych prawd, tam większe jest prawdopodobieństwo przetrwania tych zespołów. Choć trzeba zdać sobie sprawę też i z faktu, iż nie sama strona merytoryczna decyduje o trwaniu i ewolucji danego zespołu na uczelni.

Abstrahując, na chwilę, od czynników pozamerytorycznych, spróbujmy przyjrzeć się nadrzędności w rozwoju zespołów naukowych wartości poznawczych nad aplikacyjnymi. Nie zmienia tego stanu rzeczy fakt, iż jesteśmy uczelnią techniczną.

Kiedy byłem na stażu w Kalifornijskim Instytucie Technologicznym (CALTECH) w Pasedenie opowiadano mi, iż pierwsze prace tej uczelni, która może poszczycić się wieloma laureatami Nobla, dotyczyły maszyn do szycia. Był to początek obecnego wieku. Z nauki konstrukcji maszyn do szycia nie ostało się w tej uczelni nic. Choć inżynieria materiałowa, a więc penetracja materii na poziomie molekularnym, z całą pewnoś-





cią zaważyła na obecnym kształcie maszyny do szycia. Maszyny konstruowanej i wytwarzanej daleko poza tą uczelnią.

Przytaczam ten przykład z terenu obcego, choć podobne przykłady można by też znaleźć i na naszym terenie. W moim rozumieniu przykłady podobne dowodzą faktu, iż:

1) nie będą owocowały na dłuższą metę zespoły, których celem jest tylko doraźna wyskospecjalistyczna aplikacja,

2) należy w ramach procesu uniwersytetyzacji uczelni baczniej spoglądać (i chyba z niepokojem) na wyskospecjalistyczne katedry o profilu czysto aplikacyjnym

Z tych dwóch elementów wynikają określone wnioski dla programów nauczania. Większe szanse "trafienia" z profilem wykształcenia będą mieli tacy absolwenci, których wiedza ogólna będzie lepiej ugruntowana od tzw. "wiedzy praktycznej". Przez "wiedzę praktyczną" często rozumie się po prostu wąską specjalizację. Oczywiście, jako uczelnia kształcąca inżynierów jesteśmy zobligowani do nauczania absolwentów podejmowania decyzji, i to o charakterze syntetyzującym wiedzę. Praca dyplomowa może być tego pierwszym przykładem i pierwszym ćwiczeniem dla przyszłego absolwenta. Jest to jednak ćwiczenie, które powinno się mieścić w tle ogólnego wykształcenia podstawowego. Z moich obserwacji wynika istnienie dość ostrego konfliktu pomiędzy podziałem czasu nauczania na to, co jest ogólne, i na to co jest wyskospecjalistyczne.

Czynniki pozamerytoryczne mają często dwoisty charakter. Albo jest to sytuacja już istniejąca, a więc niejako zastała w obrębie danej katedry, albo jest to sytuacja, której zmienić się nie daje wskutek ograniczeń zewnętrznych.

Sytuacja zastała w obrębie danej katedry ma wszelkie znamiona trwania w tradycji. Nie jest to bez znaczenia pozytywnego w sensie kontynuacji pewnych szkół myślenia. Może się jednak okazać, że to co było w forpoczcie prac technicznych kilkanaście lat temu, zostało dawno przejęte przez przemysł. Dodatkowym obciążeniem naszej sytuacji jest otwarcie kraju na Europę i świat w ostatnich paru latach. Zmiana struktury przemysłu też inaczej wpływa na dotychczasowe profile prac katedr. Ma to istotne znaczenie w wymuszaniu zmian procesu kształcenia. Jest jednak niezwykle trudno odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu poszczególni wykładowcy chcą lub wręcz mogą zauważać potrzebę zmiany, a w jakim stopniu siłą bezwładności tkwią w rutynie materiału. Na ogół najbardziej radykalne zmiany wiążą się ze zmianami personalnymi.

Są wreszcie czynniki, na które uczelnia ma wpływ niewielki. Do nich należy poziom studentów wstępujących na uczelnię i motywy podejmowania przez nich studiów. Wydaje się faktem, iż zanika motywacja awansu społecznego. Paradoksalnie wzrasta wymóg kształcenia z punktu widzenia nowoczesnego państwa jako całości. Wyraźnie zauważa się obniżenie poziomu przygotowania młodzieży do studiów. Na domiar złego obniża się też poczucie odpowiedzialności znacznej liczby młodzieży studiującej za czas na uczelni. Ma to określony wpływ na postawę wykładowców. Często w bezsilności wobec zaskakująco słabego poziomu studentów pojawia się tendencja równania w dół lub, co gorsza, rezygnacja z przyzwoitego chociażby egzekwowania wiedzy.

Wydaje się, że "ustrojowe" kształcenie za darmo staje się anachronizmem prowadzącym do radykalnego rozluźniania dyscypliny studiów. Bez wprowadzenia elementów rynkowych, które dyscyplinowałyby zachowanie się studiujących, wątpliwe wydają się skutki wysiłków zmierzających do unowocześniania procesu kształcenia.

Romuald Puzyrewski
Wydział Mechaniczny

Polityka w anegdocie w Politechnice Gdańskiej

Polityka w Politechnice, czyli anegdoty poprzedniego okresu

Pamiętny rok 1968. Rozruchy, niepokoje, wiece. W holu Gmachu Głównego Politechniki zebrali się studenci, pracownicy, są obecne władze uczelni i władze wojewódzkie, z pierwszym sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego tow. Stanisławem Kociołkiem. Kociołek przemawia, grzmi, perswaduje, grozi. Nagle rektor, prof. S. Rydlewski, słania się, słabnie. Ma wysoką gorączkę. Co się stało? "Nic dziwnego, zbyt blisko i zbyt długo stał obok rozgrzanego Kociołka".

Powiedzenie to długo pozostawało w obiegu na uczelni.

* * *

Na uczelni krążyły także w tych czasach przeróżne śmieszne i naiwne wierszyki. Na przykład taki:

Kto ty jesteś? zomek mały
Jaki znak twój ? kawał pały
Skąd ty jesteś ? z polskich mętów
Jaki cel twój? bić studentów!

* * *

A kto wie co oznaczały takie skróty?

MO - mogą obić,
ORMO - oni również mogą obić,
ZOMO - oni zwłaszcza mogą obić.

* * *

We wczesnych latach osiemdziesiątych Politechnika miała zaszczyt gościć w swoich murach kolejnego ministra Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Głównym celem jego wizyty było spotkanie z młodzieżą akademicką. Jego przemówienie było przepiękne. Pełne ojcowskiej pobłażliwości, ale i przestróg, pełne sympatii, niewielkich żądań, a najbardziej pełne obietnic, obietnic, obietnic. Naturalnie bez pokrycia. Jednakże coś za coś, jak wynikało z przemówienia. Nie z nami te numery, Panie Ministrze! Młodzież akademicka - jak wiadomo - "karmiona szpakami" od wieków zareagowała błyskawicznie. Na murach i filarach Gmachu Głównego Politechniki rozwieszono w szybkim tempie plakaciki przedstawiające półprzymknięte oczy Pana Ministra i podpis: "Czy te oczy mogą kłamać?" (a właśnie wchodził w modę nowy przebój Jana Pietrzaka pod tym tytułem). Pan Minister bardzo prędko opuścił mury uczelni, a niedługo po tym i granice kraju, ale tego kronikarz już pewny nie jest.

* * *

A już prawdziwym majstersztykiem popisał się "Dziennik Bałtycki" z dn. 14. 02. 1982 r., drukując felieton o tematyce muzycznej. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby początkowe litery każdego akapitu nie ułożyły się w słowa: WRONA SKONA. Jakie były tego konsekwencje - łatwo się domyśleć.

* * *

I jeszcze coś z życia studenckiego UG, z okazji XV-lecia uczelni (18. 05. 1985 r.). Otóż, studenci zorganizowali pochód przez ulice Sopotu aż do ulicy Monte Cassino, niosąc różne transparenty, na których widniały dwuczęściowe hasła, rozpoczynające się wielkimi, a kończące małymi literami. Rozbawieni mieszkańcy Sopotu mogli przeczytać: "ŻĄDAMY WOLNOŚCI dla wszystkich zwierząt w ZOO", "UWOLNIĆ Izaurę" i "NIE LUBIMY RUSKICH pierogów". Była też plansza z napisem "NOWA USTAWA O SZKOLNICTWIE WYŻSZYM - GWARANCJĄ WŁAŚCIWYCH POSTAW", a za planszą postępowała kilkunastoosobowa grupa kulejących i przygarbionych połamańców. Zaś do klientów kawiarni "Złoty Ul" wołali: "Chodźcie z nami, dziś nie biją".

* * *

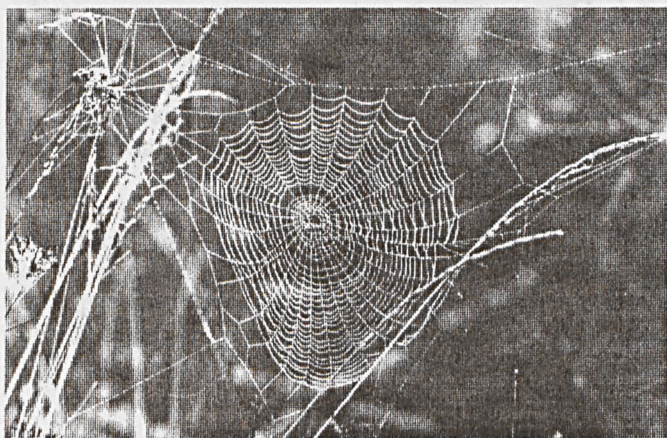
Z okazji 40-lecia PRL podziemna gazetka PG ogłosiła nieustający konkurs na hasło z tej właśnie okazji. Oto niektóre z nich:

ZOMO - bijące serce Partii (hasło - uczeń),
Wszystko co mamy Partii zawdzięczamy (hasło - emeryt),
Gdy wódkę kupujesz - komunę budujesz i pałki dla ZOMO finansujesz (godło - polityczny abstynent).

Jadwiga Lipińska
Klub Seniora

Czy można polubić pająki ?

Przechodząc latem ubiegłego roku przez teren Politechniki Gdańskiej, obok zabytkowej kuźni zauważyłem okazałego **pająka krzyżaka** *Araneus diadematus*. Znajdował się on w centralnej części utworzonej przez siebie pajęczyny, która lekko falowała pod wpływem delikatnych podmuchów wiatru. Nieco dalej znajdowała się cała kolonia sieci innego pająka - **osnuwika** *Linyphia triangulari*.



Pajęcza sieć należąca do krzyżaka (Aranens quadratus).
Fot. M. Wilga

Pająki, te powszechnie nielubiane zwierzęta, nie należą do urodziwych stworzeń. Nie mogą się równać pod względem urody chociażby z owadami: pięknymi, smukłymi przedstawicielami kózkowatych, czy też wspaniałymi, barwnymi motylami. Nie oznacza to, że i u nich nie można doszukać się pewnych estetycznych walorów, np. pięknego rysunku na odwłoku, czy interesujących barw. Pojawiło się wiele przesądów związanych z pająkami; nie wiadomo dlaczego są one zwiastunami nieszczęścia i często towarzyszą złym duchom, czarownicom i innym postaciom, wytworom ludzkiej wyobraźni. Niektóre osoby, zwłaszcza kobiety, niesłusznie boją się tych zwierząt, nierzadko wręcz panicznie; taki lęk nosi nazwę arachnofobia. Z krajowych pająków, tak naprawdę zagraża nam tylko jeden gatunek - **topik** *Argyroneta aquatica*. Gatunek ten występuje



Pająk namiotnik (Pisaura mirabilis). Fot. M. Wilga



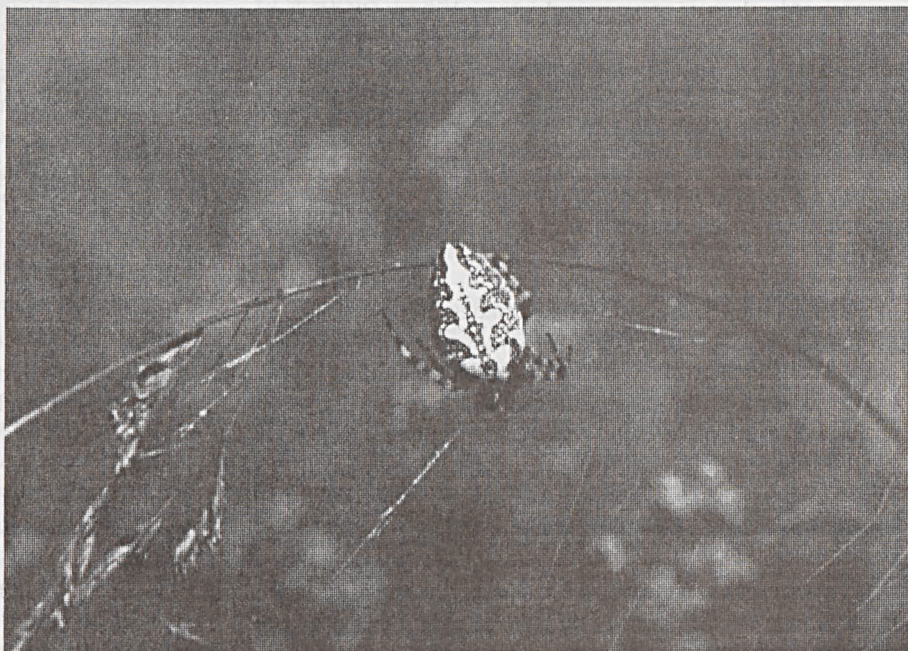
Samica namiotnika pilnująca młodych. Zielona Dolina - Lasy Oliwskie. Fot. M. Wilga

pod wodą, gdzie buduje sieci w kształcie dzwonu. Co jakiś czas pająk wychodzi pod powierzchnię wody i za pomocą odnóży zabiera pęcherzyk powietrza, który następnie umieszcza wewnątrz wspomnianego dzwonu. Jego ukąszenie kąpiącego się człowieka, powodujące silny ból i wywołujące stres, może być przyczyną utonięcia. Takie wypadki zdarzały się, choć ze względu na rzadkość zostały pominięte w statystykach utonięć.

Wspaniałym terenem do obserwacji pająków są Lasy Oliwskie. Można tu napotkać wiele ich gatunków. Gdy tylko mocniej przygrzeje słońce, z zimowego snu jako pierwsze budzą się pająki z rodziny pogońcowatych - **wałęsaki pospolite** *Pardosa amentata*; samice tego gatunku noszą kokon z jajami na spodniej stronie odwłoka. Natomiast od początku maja do połowy września można napotkać na łąkowej roślinności **kwietnika** *Misumena vatia*. Ten interesujący gatunek nie buduje sieci, czyli pajęczyn. Zaczaja się na kwiatach odwiedzanych przez owady, na które poluje. Jego łupem padają niekiedy pszczoły miodne. Ciekawostką jest występowanie kwietnika w trzech ubarwieniach: białej, żółtej i seledynowej; często osobniki o barwie białej mają dwa karminowe pasy po bokach odwłoka. Wymienione odmiany barwne tego gatunku wybierają kwiatostany o identycznych lub zbliżonych barwach, gdyż pozwala im to na lepsze maskowanie. Wynika z tego, że kwietnik rozróżnia kolory. Innym pospolitym łąkowym pająkiem jest **namiotnik** *Pisaura mirabilis*. Samica buduje na roślinności oprzęd- porodówkę w kształcie namiotu - stąd nazwa gatunku - w którym umieszcza kokon z jajami. Matka pilnie strzeże swojego przychówku do czasu, gdy młode pajączki usamodzielnią się. Warto wspomnieć, że troskliwa samica jest kanibalem. Dlatego w trakcie godów samce często przynoszą swojej wybrance upolowanego owada i w ten sposób ocalają życie (kanibalizm, czyli zjadanie własnego gatunku, jest wśród pająków dość powszechny, można wymienić tu przykładowo egzotyczną południowoamerykańską **czarną wdowę** *Lactrodectes mactans*).

Chyba najciekawszymi krajowymi pająkami są przedstawiciele rodziny krzyżakowatych, m. in. ze względu na ich misternie tkane pajęczyny. Bardzo rzadki żółty **tygrzyk paskowany** *Argiope bruennichi* został ostatnio umieszczony na liście zwierząt chronionych w Polsce. Na łąkach w Lasach Oliwskich można napotkać kilka innych gatunków krzyżaków. Nieczęsty **krzyżak dwubarwny** *Araneus marmoreus* występuje, jak wskazuje nazwa, w dwóch odmianach barwnych (forma typowa oraz f. *pyramidatus*; obie formy pojawiają się w tym samym pajęczym miocie). W różnych ubarwieniach występuje bardzo pospolity *Araneus quadratus*, tworzący koliste, spiralnie tkane sieci. Największym unikatem jest **kołosz wielobarwny** *A. ceropegius*. Na niżu gatunek ten występuje bardzo rzadko. Główne jego siedliska znajdują się w górach, m. in. na pienińskich łąkach. Oliwskie kołosze napotkałem trzykrotnie: raz w Dolinie Radości i dwukrotnie w dolinie Samborowo. Samice osiągają do 13 mm długości, samce nie przekraczają 9 mm. Dymorfizm płciowy (dwupostaciowość) nie jest czymś wyjątkowym u tego gatunku, gdyż samice pająków są zwykle dużo większe od swoich partnerów. Kołosze posiadają na odwłoku przepiękny koronkowy wzór, po którym można je odróżnić od innych krzyżakowatych. Pająki te tworzą misterne sieci na wysokości ok. pół metra, zaczepione o łąkową roślinność.

Wiem, że nawet po przeczytaniu niniejszego artykułu, w którym opisałem pająki z pewną dozą sympatii, nie polubicie Państwo tych "brzydali". Należy sobie jednak zdawać



Kołosz wielobarwny - łąka obok rezerwatu Dolina Radości. Fot. M. Wilga



Pająk - krzyżak ogrodowy (Araneus diadematus).
Fot. M. Wilga

sprawę, że są to niezwykle pożyteczne zwierzęta, które wydatnie ograniczają populacje owadów szkodliwych dla leśnej gospodarki prowadzonej przez człowieka (w Naturze szkodniki nie istnieją). Bez nich nie byłoby równowagi ekologicznej w leśnych ekosystemach. Są one również wspaniałymi synoptykami, o czym mało kto wie. Nigdy nie tworzą nowych sieci na dzień, a nawet na dwa dni przed załamaniem się pogody, tj. wystąpieniem silnych wiatrów i obfitych opadów deszczu. Aby nie marnować pajęczego surowca, składającego się głównie z białka, niektóre gatunki zjadają go i powtórnie wykorzystują podczas budowy nowych sieci - jest to *recycling* w pajęczym wydaniu. Wiele tajemnic pająków wyjaśnił Władysław Kulczyński, polski badacz arachnofauny, o europejskiej sławie, pracujący na przełomie XIX i XX wieku.

W trakcie letnich wycieczek do lasu postarajcie się Państwo przyjrzeć tym interesującym przedstawicielom naszej drobnej fauny, podziwiajcie ich wspaniałe, delikatne pajęczyny. I nie róbcie im krzywdy, bo to nasi prawdziwi sprzymierzeńcy.

Marcin Wilga
Wydział Mechaniczny

Europejskie Magisterskie Studium Inżynierii Eko-Mechanicznej

Wydział Mechaniczny Politechniki Gdańskiej

Studium sponsorowane przez TEMPUS - program krajów Wspólnoty Europejskiej

w latach 1994 - 1997

Informacje ogólne

Europejskie Magisterskie Studium Inżynierii Eko-Mechanicznej rozpoczęło działalność w lutym 1995 roku. Zajęcia w Studium prowadzone są w języku angielskim przez kadrę naukowo - dydaktyczną współpracujących uczelni i organizacji (The Buffon Institute - University of Paris VII, France; University of Patras, Greece; University College of Karlskrona, Sweden; European Centre for Pollution Research, England; Technical University of Szczecin, Poland; Technical University of Gdańsk, Poland).

W programie nauczania znajdują się przedmioty obejmujące nowoczesne zagadnienia dotyczące ochrony środowiska oraz zarządzania, takie jak: Clean Technologies, Lean Production, Environmental Management itp. Natomiast w ramach przedmiotu Computer Integrated Engineering możliwe będzie zapoznanie się ze wspomaganiem komputerowym procesów: projektowania, wytwarzania i eksploatacji.

Formy uczestnictwa w Studium

Full Time Study - jednoroczne studia magisterskie - *Master Degree Course* in *Eco-integrated Mechanical Engineering.* Absolwenci otrzymają dyplom ukończenia studium i tytuł M.Sc. (mgr inż.).

Part Time Study I - półroczne Studium podyplomowe - *Post Graduate Course In Eco-integrated Mechanical Engineering.* Absolwenci otrzymają dyplom ukończenia Studium.

Part Time Study II - *Short Courses* - dostępne dla studentów wszystkich wydziałów politechnik i uniwersytetów, a także innych kandydatów, np. pracowników z przemysłu. Istnieje możliwość wyboru dowolnej liczby przedmiotów spośród oferowanych w programie Studium w celu uzupełnienia i unowocześnienia wiedzy. Wykłady i ćwiczenia z jednego przedmiotu trwają 3-5 tygodni. Absolwenci otrzymają odpowiednie zaświadczenia.

Przewiduje się, że studenci Studium (Full and Part Time Study I), którzy osiągną bardzo dobre wyniki w nauce, będą mogli wyjechać na bezpłatne praktyki zagraniczne.

Warunki przyjęcia na Studium

Full and **Part Time Study I**: - posiadanie dyplomu ukończenia studiów lub zaliczony co najmniej czwarty rok studiów magisterskich na wydziale o profilu mechanicznym, - dostateczna znajomość języka angielskiego.

Part Time Study II: - dostateczna znajomość języka angielskiego.

Ubiegający się o przyjęcie na studia powinni w odpowiednim terminie złożyć w biurze Studium następujące dokumenty:

Full and **Part Time Study I**: - Application Form oraz kopię dyplomu ukończenia studiów lub wyciąg z indeksu poświadczony przez dziekanat (dla studentów V roku).

Part Time Study II: - Application Form.

Koordynator i kontraktor projektu:
prof.dr hab.inż. **Edmund Wittbrodt**
Kierownik Studium:
dr inż. **Zbigniew Kozakiewicz**

Adres:
Politechnika Gdańska
Wydział Mechaniczny
Pokój 210, Gm. Główny
ul. G. Narutowicza 11/12
80-952 Gdańsk, Poland
Tel./fax: (48 58) 472497

POLITECHNIKA GDAŃSKA, WYDZIAŁ MECHANICZNY

Dziekan Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej i Komitet Konferencji zapraszają do udziału w Konferencji Naukowo-Technicznej

"Mechanika '95. Nauka i Praktyka",

która odbędzie się w listopadzie 1995 roku w Gdańsku. Zasadniczym celem Konferencji jest chęć zintegrowania wydziałów mechanicznych uczelni technicznych Polski Północnej z przemysłem tego regionu. W związku z tym przewiduje się przygotowanie materiałów konferencyjnych w formie ofertowej, obejmującej zarówno kompleksową prezentację wydziałów, zespołów, jak również indywidualnych pracowników, mogących przedstawić konkretne rozwiązania techniczne. Swój udział w Konferencji zapowiedziały wydziały mechaniczne wszystkich uczelni technicznych Szczecina, Koszalina, Gdańska i Gdyni, Olsztyna, Bydgoszczy oraz Białegostoku.

Przygotowane przez te wszystkie wydziały oferty stanowiące I część materiałów konferencyjnych zostały rozesłane do wybranych przedsiębiorstw w pierwszej połowie kwietnia.

Przewidujemy również opracowanie II części materiałów konferencyjnych, które będą zawierały oferty przedsiębiorstw, lub ich oczekiwania w stosunku do naszych wydziałów, w związku z czym zależy nam na dotarciu do jak największej liczby zakładów pracy.

Przewidywany jest również bezpośredni udział przedsiębiorstw w naszej Konferencji w formie wystawienniczo-plakatowej.

Wszystkich zainteresowanych prosimy o kontakt listowny lub faxem. Korespondencję prosimy kierować pod podanym poniżej adresem organizatora.

ADRES ORGANIZATORA
Politechnika Gdańska
Wydział Mechaniczny
ul. G. Narutowicza 11/12
80-952 **Gdańsk**
z dopiskiem: **Mechanika '95**
tel. + 58 47 20 32
fax: + 58 47 10 25

Szanowni Państwo

Chcielibyśmu poinformować Państwa o działalności na Politechnice Gdańskiej oddziału Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej im. Franciszka Stefczyka. Kasa jest spółdzielnią osób fizycznych i działa na podstawie ustawy o związkach zawodowych (Dz. U. nr 55, poz. 234, z 1991 r.) i Rozporządzenia Rady Ministrów (Dz. U. nr 100, z 1992 r.).

Celem Spółdzielczej Kasy jest zapewnienie jej członkom źródła pożyczek o umiarkowanym oprocentowaniu i możliwości oszczędzania na dogodnych warunkach. Szerzej, celem tym jest propagowanie oszczędności i gospodarności, upowszechnianie idei samopomocy, kształtowanie umiejętności zarządzania finansami w sposób efektywny. W swojej działalności Spółdzielcza Kasa nawiązuje do tradycji przedwojennych kas oszczędnościowo-kredytowych, zakładanych jeszcze u schyłku XIX wieku przez Franciszka Stefczyka.

Źródłem współczesnych doświadczeń jest dla nas działalność związków kredytowych (credit unions) na Zachodzie. W chwili obecnej kasy spółdzielcze zrzeszają w Polsce ponad 40 tys. członków, w ponad 100 kasach. Na terenie Trójmiasta działają kasy w Stoczni Gdańskiej S.A., w Urzędzie Kontroli Skarbowej w Gdańsku, w Rafinerii Gdańskiej S.A., w Oświacie Gdańskiej, w Polskich Liniach Oceanicznych. Działa również spółdzielcza kasa oszczędnościowo-kredytowa pracowników przedsiębiorstw morskich.

Informujemy, że **Oddział Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej im. F. Stefczyka** czynny jest codziennie od godziny **12.00 do 15.00** w **Gmachu B (Kwestura).**

Serdecznie zapraszamy

Kierownik SKOK
Wojciech Miotke

WYDARZENIA

17 -19. 01. 1995 r. Gdańsk. W Targach Producentów, Kooperantów i Sprzedawców Zespołów Napędowych i Systemów Sterowania pn. NAPĘDY '95 swoje stanowiska prezentowały Wydziały: Mechaniczny, Oceanotechniki i Okrętownictwa, Elektryczny i Elektroniki.

25. 01. 1995 r. PG. Decyzja Senatu PG o zmianie nazwy Wydziału Hydrotechniki na Wydział Inżynierii Środowiska.

27. 01. 1995 r. PG. Wydział Zarządzania i Ekonomii PG. X Seminarium z zakresu prognozowania rozwoju gospodarki morskiej dostosowanego do potrzeb gospodarki narodowej; przewodniczył prof. Andrzej Tubielewicz.

06-09. 02. 1995 r. New Delhi (Indie). Obrady X Zgromadzenia Generalnego Międzynarodowego Stowarzyszenia Uniwersytetów (International Association of Universities); na członka Zarządu Stowarzyszenia został wybrany prof. Bolesław Mazurkiewicz (Wydział Inżynierii Środowiska).

08. 02. 1995 r. Hala Katedry Technologii Okrętów i Obiektów Oceanotechnicznych Wydziału Oceanotechniki i Okrętownictwa PG; uroczystość przekazania prototypu stalowego Zatokowego Kutra Rybackiego (ZKR-1) armatorowi, którym jest rodzina Konkelów ze Swarzewa.

21. 02. 1995 r. Ratusz Staromiejski w Gdańsku. W cyklu: "Gdańskie Pamiątki Historyczne i Symbole Kultury" referat mgr. inż. arch. Aleksandra Piwka (Wydział Architektury PG) pt. "Kościoły dawnego Gdańska".

28. 02. 1995 r. PG. W cyklu: "Politechnika Otwarta" wykład prof. dr. Petera Hohenemsera (Akademia Zarządzania w Monachium) pt. "Doświadczenia Niemiec w transformacji gospodarki byłej NRD".

13. 03. 1995 r. Sala Senatu PG. Seminarium "Etyka i Polityka" z udziałem posłów na Sejm RP i przedstawicieli partii politycznych.

14. 03. 1995 r. Wydział Elektroniki PG. Katedra Architektury Systemów Komputerowych. Robocza wizyta przedstawicieli oddziału marketingowego MOTOROLA POLAND z przekazaniem pakietu propozycji badawczych, które producent chciałby finansować.

12. 04. 1995 r. Warszawa. Finał I ogólnopolskich eliminacji do VII Konkursu Młodych Naukowców Unii Europejskiej; Michał Rewieński, student I roku Wydziału Elektroniki Politechniki Gdańskiej, otrzymał za pracę "Magnetic interactions in thin films" jedną z trzech polskich nominacji do udziału w Konkursie, który odbędzie się w dniach 11 - 13 września br. w New Castle (Wielka Brytania).

25. 04. 1995 r. Aula PG. W cyklu "Akademia Muzyczna w Politechnice" odbył się kolejny koncert zorganizowany przez Akademię Muzyczną im. S. Moniuszki w Gdańsku, Politechnikę Gdańską oraz Wydział Kultury UM w Gdańsku.

28-29. 04. 1995 r. PG. Sesja Naukowa poświęcona obchodom Światowego Roku Katynia i 55. Rocznicy Zbrodni Katyńskiej organizowana przez Gdańską i Gdyńską Rodzinę Katyńską, Politechnikę Gdańską i Akademię Marynarki Wojennej w Gdyni.

ZAPOWIEDZI

Maj - listopad 1995 r. PG. V cykl seminaryjny "Zastosowanie komputerów w dydaktyce", organizowany przez Gdański Oddział Polskiego Towarzystwa Elektrotechniki Teoretycznej i Stosowanej; do końca listopada br. zostanie wygłoszonych 15 referatów pracowników wyższych uczelni technicznych; informacji udziela dr inż. L. Referowski (Wydział Elektryczny PG); tel. 47 13 97 lub e-mail: ptetis@sparc 10.ely.pg.gda.pl

20 - 28. 05. 1995 r. Obchody Jubileuszu Uczelni organizowane przez Studenckie Centrum Kultury Politechniki Gdańskiej; w programie m.in. koncerty muzyczne i poetyckie, turnieje i zawody sportowe, rajd samochodowy oraz wielki festyn z wieloma atrakcjami.

23. 05. 1995 r. Gmach Główny PG. Uroczysty koncert symfoniczny w ramach uroczystości uświetniających 50 ROCZNICĘ PRZEKSZTAŁCENIA POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ W POLSKĄ UCZELNIĘ AKADEMICKĄ.

24. 05. 1995 r. Aula PG. Ceremonia nadania tytułu i godności doktora honoris causa Politechniki Gdańskiej prof. Gerdowi Gudehusowi z Uniwersytetu Technicznego w Karlshrue (Niemcy).

Do końca czerwca br. Wydział Elektroniki PG. W Katedrze Podstaw Informatyki, w każdy wtorek, w godz. 15.00 - 17.00 odbywają się cykliczne seminaria pt. "Algorytmy teorii grafów".

01. 09. 1995 r. Wydział Elektroniki PG. Rozpoczyna działalność Studium Podyplomowe Podstaw Informatyki trwające trzy semestry; informacji udziela - inż. Krystyna Sobolewska, tel. 47 17 66.

19. 09. 1995 r. Ratusz Staromiejski w Gdańsku. W cyklu: "Gdańskie Pamiątki Historyczne i Symbole Kultury" referat dr. inż. arch. Macieja Gawlickiego (Wydział Architektury PG) pt. "Rozwój przestrzenny Gdańska".

04-07. 10. 1995 r. Gdańsk - Gdynia. Międzynarodowe Seminarium "Preservation of the Industrial Heritage - Gdańsk Outlook II" pod patronatem honorowym Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO; Komitetowi Seminarium przewodniczy prof. Zbigniew Cywiński, dziekan Wydziału Budownictwa Lądowego PG.

Listopad 1995 r. PG. Wydział Mechaniczny organizuje Konferencję Naukowo-Techniczną pt. "Mechanika '95. Nauka i praktyka"; celem konferencji jest zintegrowanie wydziałów mechanicznych Polski Północnej z przemysłem regionu.

21. 05. 1996 r. Ratusz Staromiejski w Gdańsku. W cyklu: "Gdańskie Pamiątki Historyczne i Symbole Kultury" referat mgr. inż. arch. Aleksandra Piwka (Wydział Architektury PG) pt. "Architektura klasztoru Cystersów w Oliwie do 1831 r.".

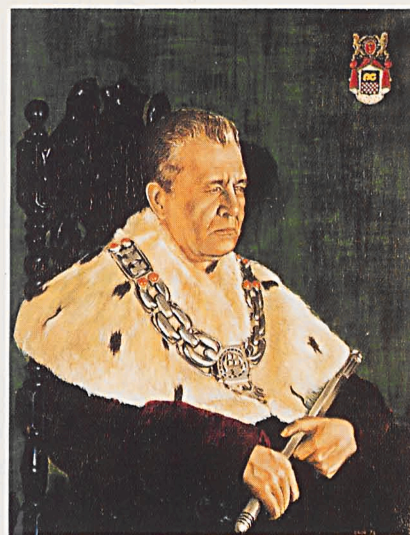
Informacje zebrała Joanna Nowakowska
Zespół ds. Informacji i Promocji



prof. zw. dr inż.
Stanisław RYDLEWSKI
1968 - 1970



prof. dr. h.c. inż.
Janusz STALIŃSKI
1970 - 1975



prof. zw. dr hab. inż.
Tomasz BIERNACKI
1975 - 1978



prof. dr hab. inż.
Marian CICHY
1978 - 1981



prof. zw. dr inż.
Jerzy W. DOERFFER
1981 - 1984



prof. zw. dr hab. inż.
Eugeniusz DEMBICKI
1984 - 1987



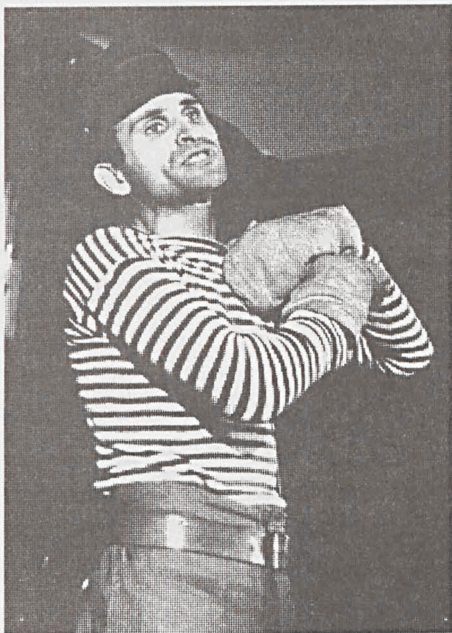
prof. zw. dr hab. inż.
Bolesław MAZURKIEWICZ
1987 - 1990



prof. dr hab. inż.
Edmund WITTBRODT
1990 -

?





Moje cudowne lata...

Z powodu chochlika komputerowego w artykule pana Jerzego Ciepielowskiego zginęła literka π. W związku z tym poniżej przytaczamy prawidłowo wydrukowane fragmenty tekstu.

W bólach i wahaniach kabaret nazwaliśmy Studencki Teatr Politechniki Gdańskiej "Kabaret π". Literka π miała być symbolem technokracji kabaretu, jednocześnie tym, co to powoduje stukanie kół wagonowych o szyny ze znanego dowcipu, a właściwie nikt nie wie jak ona (ta końcówka π) to robi.

W marcu 1963 r. "Kabaret π" był gotowy (tak nam się zdawało) do pierwszej premiery, której nadaliśmy tytuł "Podskakujmy panowie" - na cześć piosenki końcowej.

Z zapałem cały zespół "Kabaretu π" wziął się do pracy i w salce nazwanej z racji swojego położenia "Szczytową" powstała scenka z zapleczem i garderobą (w pokoiku obok, do którego przebiliśmy wejście) oraz widownia mieszcząca 100 krzeseł dla przyszłych widzów. Salka, scenka i garderoba, chociaż małe, zrobiły się nasze, a po remoncie bardzo przytulne. Razem z tym naszym kochanym "cudem" powstały słowa - później "sztandarowej" piosenki "Kabaretu π", które mówiły, że:

"Kabaret π" w swoim blisko 12-letnim okresie działalności tworzył wciąż ten sam "trzon osobowy", co jest chyba fenomenem, bo byliśmy przecież amatorami i studentami (przynajmniej przez kilka pierwszych lat).

Nie sposób nie wymienić tutaj nazwisk ważnych w działalności "Kabaretu π", jak: inżynier elektryk Jan Rubczak, inżynier budownictwa Edward Licznerski, inżynier elektryk Janusz Wujkowski "Cymes", inżynier budownictwa Jacek Bujalski, mgr Stanisław Szczerek.

Dziewczyny występujące w "Kabarecie π" wywodziły się przede wszystkim z Wyższej Szkoły Pedagogicznej (późniejszego Uniwersytetu).

Kolejne programy "Kabaretu π" prezentowane na tymże Ogólnopolskim Przeglądzie zdobywały uznanie jurorów, a zespół był nagradzany za "... bardzo wysoki, wyrównany poziom aktorstwa ...".

Byliśmy amatorami w całym tego słowa znaczeniu, bo robiliśmy to co lubiliśmy, i nie mówiliśmy o pieniądzach. Występowaliśmy najczęściej w "Szczytowej", jak też w przepełnionych salkach klubowych w DS-ach, na scenkach w Gdańsku i na wyjazdach, zazwyczaj z powodzeniem. Kiedy większość członków "π" skończyła studia i wyjechała z Gdańska, skończyła się nasza działalność.

Po moim kochanym teatrzyku, o być może dziwnej nazwie "Kabaret π", zostało tylko wspomnienie, może legenda. Ale piękna. Piękna dla nas kabaretowiczów - pokolenia kataryniarzy i może dla tych, którym służyliśmy rozrywką i którzy nas pamiętają. Były to przecież dla nas CUDOWNE LATA.